

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



Warszawa,

Solec 87.

telefon 2-44-18.

„BLUSZCZ”

społeczny i kobiecy
ilustrowany tygodnik

Ś-to Krzyska 17 m. 3. tel. 6-76-72.

Warszawa,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76 72.

Redaktorka naczelna STEFANJA I 4-OKOŁÓW.

Dział robót pod kierownictwem JADWIGI LENIOWSKIEJ

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem WANDY BORUDZKIEJ

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść:

Poezje: Przed świętami, Trzej królowie — Lucyna Krzemieniecka. Wiersze: Polska i Litwa — Kazimiera Illakomiczówna. Sieć Piotrowa — M. H. Szpyrkówna. Poeci: Po stu latach — N. J. Wystawa poświęcona Władysławowi Skoczylasowi — Stefanja Podhorska. Z teatrów — S. P. O. Z muzyki — P. L. Wychowanie i szkoła: Wychowanie domowe jako podstawa szkół zawodowych żeńskich — Jadwiga Prawdzicowa. Czasopisma pedagogiczne. Z ubiegłego tygodnia — H. Kobieta w świecie i w domu. Przegląd prasy. Ogrodnictwo i hodowla: Zwiększajmy hodowlę kóz. Clivia i Calla — Maryja. Dom i gospodarstwo: Świętujemy — Wanda Dobrzańska. Jadłospis świąteczny. Przepisy kulinarne — Melba. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie— 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcza”. Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.		zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—	$\frac{1}{1}$ str. okł. —	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	400.—	$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—	$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—	$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—	$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	50.—	$\frac{1}{32}$ „ „ —	50.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelnicze, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

BLISZCZ

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY



Choinka w śniegu.

(Fot. Poddębski).



Francesco Raibolini (w. XV). Adoracja Dzieciątka.

Święta Bożego Narodzenia, to święta rodziny i domu, matki i dziecka. W te uroczyste dni, skupiające grono rodzinne wokół płonącego drzewka i suto zastawionego stołu, pamiętajmy o tych, których los, bezrobocie, lub klęska żywiołowa skazały na bezdomność lub samotność. Niech ręce wszystkich szczęśliwych rodziców i dzieci, radośnie wyciągnięte ku Boskiemu Dzieciątku, zmienią się w źródła miłości bliźniego w myśl słów Chrystusa Pana „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią”



Wszystkim naszym Szan. Czytelniczkom, Współpracowniczkom i Przyjaciółom naszego pisma

*zasyłamy Najserdeczniejsze Życzenia Wesółych
Świąt i pomyślnego Nowego Roku*

LUCYNA KRZEMIENIECKA

Przed świętami

Srebrno złote gałęzie
i kul tęzowe owoce
urośły kramom.

Na zdziwionych placach śródmieścia świerki pachną,
jak dzieciństwo samo.

Liche sreberka i złotka

miarą lśnią szczerzocista,

z małej niezdarnie sklejonej szopki uśmiecha się
Chrystus.

Podnoszę zielone, zgubione gałązki i, jak szczęściem
napelniam niem dłonie.

Na gościńcu Świętego Mikołaja gwoździ płonie.

Trzej królowie

Jakie to uczucia ich gnały ku biednej dziecinie,

Kiedy z pałaców wyszedłszy szli przez pustynię?

Jakie to myśli czule i jaka miara

mirrą napelniła Melchjora szkatułę

i kadzidłem czarne dłonie Baltazara?

I jak się tam pomieszał w Betlejem

pobrzęk Kacpromego złota,

z kolendowaniem pasterzy i z Twoją Jezu prostotą?



Szopka.

(Fot. Poddębski).

Wigilja nauczycielki wiejskiej

Jeszcze gwiazdy migotały na zmarzniętym niebie, kiedy wieś się ocknęła. W zaspanych oknach wybłyskiwały kaganki, aby przy ich skąpem świetle człowiek zaczął swoją powszednią krętaninę. Po wszystkich ścieżkach dzwoniły jędrne, mocne kroki, aby biec przez cały dzień, aż do wigilijnego wieczoru, aż do radości Bożego Narodzenia. Praca miotła się naokoło domów, po obejściu, po mrocznym poranku.

W izbie Malinowskich Władek pierwszy się obudził i szarpnął Alojza.

— Zaraz wstawaj.

Zwyczajnie nie chciało się smykowi zwlekać z barłogu, kwękał, stękał, labidził, gotów pięściami grozić i odpędzać, dzisiaj wiedział, że trzeba zerwać się ze śmiechem, aby cały rok był wesół. Pamiętał też, że „wilja rada dzieci bije“, to też wrzucił na siebie ubranie, zatupał ochoczo kierpcami i podskoczył do skąpych gospodarskich spraw. Przelatywał od roboty do roboty z piosenką, gubiąc po drodze poszczególne nuty.

*„Omiecki becały — kiej się rozejść miały,
Owciarycek płakał, — nóżki go bolały
Bolały go nóżki — kiej chodził do Zośki
A skoro do Marysie — zagoiły mu się“.*

— Alojz co ty wydziwiasz? — krzyknęła z oburzeniem Malinowska.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony.

— Zberezeństwa śpiwasz w taki dzień. Grzych.

— Kiej mi wesóło — zaśmiał się echem piosenki i zaczął nucić nową, tak samo radosną do Hanusi Tomalanki.

Władek upomniął Alojza, co ma zrobić, i wybiegł na swój codzienny wyrobek. Nie było widać ludzi, słychać tylko głuche głosy i stapania, jakby to zwarta ciemność dokądsz szła w chrzęście, skrzypieniu przez mroźny mrok. Koguty zamknięte w ciasnych chlewikach biły skrzydłami i piałły przeraźliwie, że już czas, że słońce wnet wszędzie! Obudzone kury gdakały zręcząc, że daleko do rana, poco się drze, kiedy gospodyni jeszcze ziarna nie wyniesie.

Świt zrózowił niebo, jakby ogień rozżarzał szary papier. Nie na długo starczyło rannego ognia, bo zaraz zgasł i już zwyczajne słońce ozłociło przemijającą chwilę. Wszystkich popędzał codzienny nakaz, aby nie stać w miejscu, ale być w ciągłym ruchu. Wśród zapobiegliwej, skrzętnej bieżaniny i krętaniny nie było słychać swarów, kłótni. Jakże to w taki dzień? Cały rok byłby w pomście. Ale czy to można wytrzymać jak się za dużo nazbiera? To też niejednego złość roznosiła i przekleństwa wbrew woli same wyskakiwały z gęby, która

chciała być pełną modlitw i pobożnych wzdychań. Wkrótce przychodziło opamiętanie.

— Przez takiego obraza boska, ażeby ci ozór odpadł, ażebyś nie doczekał drugiej wilji. Żebym przez ciebie grzyszyła dzisiaj o Jezu Miłosierny. O Jezu łaski pełny. Pockoj ścierwo dam ci. Dostanę cię pojutrze w łapy. Pana Boga nie byłoby na niebie, jakbym ci darowała. Nie każda mogła pohamować złość, co prędsza i gwałtowniejsza rozpuściła ozór na całą wieś i chłopinie niejedno wypomniała, że sponiewieranemu biedakowi bokiem wyłaziło szczęście małżeńskie. Od babskich krzyków, jak od obucha siekiery trzaski, sypały się chłopskie stękania.

— Dobrze człowiekowi, dobrze, jak myszy kiej ją kot dopadnie... Lepiej do ognia skoczyć, jak z taką babą jeść z jednej miski. Żebyś miał dwadzieścia rąk, tobyś prał, w tę jedną gębusię. E... Wszystkie ręce połamiesz i nie nie poradzisz. Zawdy takiej gęba chodzi jak toruniowi kłapačka. I co masz z tego? Za ślinę byś sprzedał takie uciechy.

Władek mijając zabudowania śmigał rozweseleni oczami po dziedzińcach, a kto to? a u kogo?

Wypuszczone kury już łaziły po obejściach, rozgrzebując pod stodołą zgoniny, to sterty świeżo wyrzuczonego nawozu. Stada przeplaszanych wron rzucały po śniegu potargane cienie. Wróble czyniły codzienny gwar, spadały chmarą, to przemykały bokiem, wiedząc, gdzie ich poczęstują kamieniem, a gdzie ziarnem.

Pogodny poranek wstąpił do izby Malinowskiej. Nikt z mieszkańców nie widział pustych ścian, nikt nie pomyślał o nędzy, bo całe wnętrze ustrojone było najpiękniejszym wyrazem: wilja. Alojz tajemniczo wspinał się po drabinie na strych, po chwili zbiegł po szczeblach, niosąc pękaty woreczek. Zamrugał oczami porozumiewawczo.

— Mamo! patrzcie!

— Groch? Skądś wziął? może, broń Boże... — nie śmiała dokończyć swego przypuszczenia.

— Nie, nie — parsknął radośnie. — Myślicie, żem ukradł? W jesieni zbierałem po ścierniach suche strączki. Mieli zorać? Chciałem wam na wilję.

— Teloś zebrał — szepnęła z podziwem.

— Telo — wyrzekł z dumą. — Palce miałem spuchnięte i podrapane od cierni, raz Hurkała mnie zerznął. No, kwiczałem, rety. Ale mnie piekło. Ciężką ma łapę — wciąż się śmiał, jakby opowiadał najweselszą przygodę.

Właściwie nie wiele było do roboty, mimo to, aż za dużo nietylko dla słabych, przemarzniętych rąk Alojza, ale i dla zdrowych, mocnych. Sam siebie poganiał, aby to, aby tamto zrobić, bo już za żadne skarby nie wolno pracować nawet



Wigilja. (Drzeworyt St. Ostoi-Chrostowskiego.)

wody naczepnąć ze studni. Nie czuł mrozu, każdy największy wysiłek był dla niego radością, aby tylko niczego w domu nie zabrakło. Staszek, stojąc przy oknie na ławie, ścigał wzrokiem przeloty coraz nowych ptaków. Sikorki roztrzepywały w powietrzu zielone i czarne ubarwienie roniąc drobne dźwięki. Małe kłębki wolicich oczek, niby ożywione klejnoty owijały gałęzie. Kowaliki stukały, jakby kruszyły rozproszone gwiazdy. Szczygły gorejąc strzępkami zorzy, strącały skrzydłami śnieg, wzniecając migotające obłoki. Różnolita obecność ptaków była prawie bezcielesna, jakby to śliczne, barwne sny zjawiały się, trwały przelotnie i przemijały bez śladu. Staszek głośno opowiadał o tem, co zobaczył tak, że uszczęśliwiona Malinowska widziała wszystko, co on widział, słyszała co on słyszał i wędrowała razem ze synem po przestworzach. Przed jej oczami ściany zniknęły, a izba

zmieniła się w nieograniczoną przestrzeń zagubioną w niebie wśród błękitów i obłoków. Drzewa podobne były do zwiewnych rysunków stworzonych na dzień w uroczystej chwili. W ich oszronionych koronach brzmiały ćwierkliwe głosy, jakby ptaki przyniosły drobiny słońca, aby rozweselić ludzi smutnych, patrzących z nędznych izb. Radość poślacała głosy ptaków. Staszek zbiegał z ławki i znów się wspinał, aby matce na nowo opowiedzieć. Zamilkł i patrzył w dal, wreszcie krzyknął z całych sił:

— Alojz pódź, poźryj!

Chłopak z mietłą stanął przy oknie.

— Niesą jedliczkę.

— Niech niesą.

Gromadka znajomych dzieci wyłoniła się z wozu i zwartym szeregiem zmierzała ku domowi Malinowskiej. Nad ich głowami kołysały się gałęzie smreka, niby radośnie rozwiany zielony sztandar.

— Kajże idą? Już ku nam skręcają.

— Czego chcą? — starszy pytał gorączkowo.

— Ale ładną niesą jedliczkę — mały nie zważał na niepokój brata. — Ej, żeby to nam. Chciałbym choć raz w życiu mieć — urzeczony widokiem, wykrzykiwał z podziwem.

— Będiesz miał kijem. — Alojz burknął po swo-

Miły upominek gwiazdkowy



Lady

Eau de Cologne w złotym pudetku!

Właściwym, jedynie obecnie przyjętym sposobem perfumowania się jest używanie wody kolońskiej „Lady”. Wspaniały, subtelny zapach tej wody kolońskiej stanowi oznakę dobrego tonu.

Prawdziwa tylko w oryginalnych flakonach.

Woda kolońska „Lady” znajduje się w sprzedaży w 6-ciu zapachach:

**Chat Noir - Perle de Paris - Jockey Club
Parisienne - Rouge et Noire - Fleur de Tabac**



jemu. — Poco? Idą? Pani z nimi też! — poznając twarz szeptał struchlały. — Znowu coś będzie. Skrzesą skórę? Za co? — zmierzył oddalenie. Chciał chlusnąć przez podwórze, płot i w pole. Wziął rozmach do skoku. Zapóźno. Już docierali do furtki. Zawsze miał dość na sumieniu. Myśli śmigają jak błyskawice — może za to, może za tamto. Żył życiem ściganego zwierzęcia. Westchnął z poddaniem. — Niech co chce będzie. Nie pierwszyczna mi...

Tupot tyłu kroków nappełnił sieni, zmieniony w gwar, szmer i ciszę. Z pośród zebranych wystrzeliła kolenda. Chyba tak samo śpiewają anieli. Otworzyły się drzwi i weszli do izby, chyba nie żywi ludzie w kożuchach, kapotach, kierpcach, chodakach, ale boscy wysłannicy, którzy przynieśli najradośniejszą nowinę razem z mrozem, razem ze świeżością powietrza. Staszek zeskoczył z ławki, przybiegł do łóżka matki i razem patrzyli jednako zachwyconymi oczami. Był to cud pierwszy raz widziany. Z kolend wyrosła choinka, stanęła w kącie, sięgnawszy powały i zapachniała całym lasem. Wśród rozpostartej ciszy zaszeleściły poruszone konary, których zieleń rozkwitała kolorami, rozbłyskiwała srebrem i złotem. Z wierzchołka zlatywał anioł z gwiazdą, rozjaśniając wnętrze izby. Pomiedzy rozplatanymi świecidelkami drgały dziecięce głosy niby najpiękniejsze ozdoby.

- Maryś haw powieś.
- Pockaj, hań będzie zdatniej.
- Oto, jeszcze to...

Staszek myślał, że to nie rzeczywiste drzewko, ale senne widziadło objawione ścianom i ludziom, które może zniknąć. Objął chorą ramieniem i wyjawil nowinę..

— Pożryjcie. Jeszczem nigdy... jeszczem nigdy...

— Synu mój, synu, dobrych ludzi więcej jak złych. Czyśmy godni?

Nauczycielka stojąc na boku patrzyła na barłóg, na ogołocone ściany, na najstraszliwszą nędzę, na ludzki szkielet, na chłopca, który nie czuł, że sznurek podtrzymujący porcięta wgryza się w nagie ciało, nie widział kapoty uszytej z worka, nóg bosych, zsiniałych, oczarowane oczy napelnione podziwem widziały ziszczony cud. Przejął ją piekący wstyd. Wolałaby, aby ją kopnęła ta nędzarka za łzawą gwiazdkę, ohydą w swej rzewności, za to plunięcie miłosiernego słońca. Zrywający się wrzask mogłaby wypowiedzieć tylko pięściami.

— Siebie chcemy oszukiwać tą jarmarczną, tandetną litością, im chcemy ślepiea zatykać, aby nie zobaczyli swej krzywdy... Nowe, inne kolendy należy śpiewać dzisiejszemu światu. Z głowni!

Malinowska nie widziała rąk nauczycielki zaciśniętych w kułak nie słyszała jej myśli, wciąż patrzyła na Staszka i jego szczęściem uszczęśliwiona powtarzała z zachwytem i z wdzięcznością.

— Boże! Boże! Czemżeśmy sobie na to zasłużyli? Tyle dobra jeszcze nigdy... Dzieci powiedzcie pani i wszystkim Bóg zapłać... — przy tych słowach kikut martwo leżący na piersiach drgnął nieznacznie, powoli, ledwo widocznie sunął, aż wkońcu dwa żyjące palce dosięgły oczu, gniotły. Nie zdołały wstrzymać naporu napływających łez. Dwa palce jakby popieczone, czy opuchnięte osunęły się i już bez przeszkód wyciekały wielkie, czyste, niczem nie zatamowane łzy. — Tyle mi z ręki zostało, tyle z całego życia. Już moje ręce nieczyich łez nie obetrą, ani cudzym ludziom, ani moim dzieciom, ani nikomu...

Nauczycielka nie mogła znieść widoku nędzarki łkającej z wdzięczności za jałmużnę.

Wstrząśnięta do głębi wyszła stąd, aby jak najdalej od tego domu. Coś mówiła wielkim płaczem czy przekleństwem. Nie wiedziała. Czuła, że jest cała wystygła, zmieniona w bryłę zimną i twardą, w której osierdziu rozżarza się myśl

— chyba w godzinie śmierci będę widziała zniekształcony, pokręcony kikut zgniatający dwoma żyjącymi palcami oczy pełne łez i uszczęśliwienia...

Wzruszone dzieci wypadały z domu Malinowskiej opowiadały o wszystkim, co dzisiaj przeżyły. W ogólnym zielku przewijał się obraz chorej i imię Alojza i Staszka. Wkrótce zapomnieli i pod wrażeniem nowych uczuć wyjawiali uradowanemi głosami, co ich czeka w domu. Po przebyciu połowy drogi kilka dziewczyn przypadło do nauczycielki wskazując na krępego, zwartego chłopca spieszącego z dołu, niosącego pod pachą małe zawiniątko.

— Proszę pani, o hań ten chodok, to Władek.

— To ty się opiekujesz matką?

— No jo, bo niema nikogo — krótko odpowiedział na pytanie ze złością, że ktoś go zaczepia, kiedy wraca do domu, gdzie go czeka tyle roboty. — Nie mam czasu. Ostańcie...

— Matka nie skarży się na ciebie?

— No... — zaskoczony zamilkł. — Czasem się skarżę, bom prędko i co nie trzeba powiem. Co zrobię, kiedym już taki? Trza sprzątać, wynosić, dźwigać, wszystko zrobić, jak kole chorego, nieraz krzyże mnie bolą, nieraz rąk nie czuję, to wicie... wicie... sprzykrzy się mi żyć i zwyzywam. Potem serce mnie boli, bo co oni winni są? Ja też nie winien. Złym, kiedy wrócę po robocie i to dlatego.

— Ileż masz lat?

— Na trzynasty mi idzie.

— Na trzy-na-sty? — powtórzyła powoli.

Władek nie czekał dłużej, podążył spieszenie ku domowi, patrzącemu dzisiaj na świat rozjaśnionymi oknami. Nauczycielka chciała na niego jeszcze raz zawołać, popatrzeć na twarz, zapamiętać jej wyraz i bezwiednie wyrzekła do ogołoconych drzew, do pustki, wbrew temu, co myślała przed chwilą.

— Trzeba wierzyć w serce ludzkie.

Dzieci rozbiegły się ku swoim domom rozrzuconym po zboczy. Topniała gromadka. Nauczycielka żegnała odchodzących jednako przyjaznym uśmiechem, życząc wesołych, szczęśliwych świąt. Nie wiedziała kiedy została sama porzucona na zmarzniętej, opustoszałej ścieżce. Zrozumiała, że w ogólnem weselu była zbyt czarna i obca. — Nikt nie zapytał dokąd pójdzie, z kim wymieni uścisk ręki. Cała wieś była dzisiaj biesiadnym stołem uroczystości zastawionym, ale przy nim zabrakło miejsca dla niej. Nie chciała zobaczyć



Stanisław Pilarczyk, uczeń Dośm. Pracowni Graficznej Salezjańskiej Szkoły Rzemiosł: „Gwiazdka“ (drzeworyt).

swego smutku przez szczęście wszystkich.

— Nie mam nawet takiego domu, jak Malinowska.

Pozdrawiali ją przechodnie różnemi głosami. Nikt dłużej nie stanął, bo nikt nie miał czasu. Przelatywały furgotające spódnice, otrzępujące zapach potraw, gotowanych na wigilijną wieczerzę. Z drzwi wyskakiwały splonione twarze i krzyk na cały świat.

— Tyle roboty, ani nadażyć. Kiedy się obrobie. A pomóż ścierwo, bo Pon. Jezus przyjdzie i jakże tak, w takim chlewie, w takim gno... — urywano na widok przechodzącej i witano ją z uśmiechem.

— Nie gniewajcie się, bo ta rozmaicie bywa przy gospodarce.

Nauczycielka nie mogła wrócić teraz do swej pustej izby, bo i poco, daleko do wieczora, daleko przez noc do rana, skreśliła na napotkaną ścieżkę i pięła się ku Chrystusowi stojącemu z zaciśniętymi dłońmi w swej samotnej kapliczce. Zdaleka zobaczyła omszały dach wysterczający z kręgu drzew i pozdrowiła go szeptem.

Wśród świątecznego hałasu wsi rozlegał się stukot siekier, których ostrza wyblyskiwały w mrocznym dniu i gasły wciósane w drzewo. Widać było postacie robotników, obciosujących pnie, odwalających smolne szczapy. Na podmurowaniu wyraźnie rysowały się belki przyciesi mocno związane na węgiel. W takt toporów cioszących słychać było:

„Nuty moje nuty, skąd się mi bierzecie?

Na moim serdecku same się siejecie!”

— Jeszcze pracują? Nic dziwnego, dzisiaj dla nich święto, kładą podwaliny pod zrab domu gromadzkiego, który powinien mieć nazwę: Z naszej pracy wasz dom. Wpatrzona w nową budowlę, marzyła o wielkiej wsi. Najpierw dźwignąć chłopą do godności człowieka. Z progu ubogiej szkółki wiejskiej jego dzieci muszą zobaczyć świat, lepsze życie, a w niem szczęśliwych ludzi. Ale trzeba, aby przestąpiły jej próg, jakby próg nowego życia. Odrodzenie życia nastąpi przez tych, którzy idą. My jesteśmy popiołem, zgorzeliskiem, kryjącem ogień dla tych pokoleń mających nadejść.

W stukocie siekier piszących swój pracowity manifest, szeptała do cieśłów. — Tylko entuzjizm zdoła być tryumf. Najstraszliwsza choroba, to brak entuzjizmu, powoduje zmarnienie duszy. Przed nami cel jasny, przebudowa dusz ludzkich do nowego życia i zwycięstwo jutra. — Zobaczyła dzieci, które uczyła i które ma uczyć. Tysiące, tysiące ławek, nie przeliczone szeregi twarzy. Całe życie aż po najdalejsze krańce zmienione w szkołę. Ugięła się pod

Na palcach policzyć można..



Racjonalny puder powinien odpowiadać:

- a. Właściwośćom cery:
tłustą cerę — odtłuszczać,
normalną — ożywiać.
- b. Karnacji.
- c. Przylegać dyskretnie i trwale.
- d. Nie zawierać części metalicznych,
szkodzących cerze.
- e. Zdobić cerę naturalnie, nadając jej
miłą mat i świeży zdrowy wygląd.

Tym wszystkim warunkom odpowiada ściśle

PUDER DRA LUSTRA

HIGJENICZNY-ODTŁUSZCZAJĄCY dla cery tłustej,
I EGZOTYCZNY-OŻYWCZY dla cery normalnej.

ciężarem tego obrazu, zaszamotała się. Już stąd nigdzie nie odejdzie, wpleciona w węzeł zawitych ścieżek. I tak z roku na rok. Wiecznie się będzie krzątała w kieracie mijających, mozolnych godzin powszednich czynności. I tutaj zamknięta w czterech ścianach wiejskiej szkółki, może być płomieniem, który świat podpala, trzeba tylko spełnić swoje codzienne, szare obowiązki, poczęte z miłości, podyktowane powołaniem. Uświadczenie tego obudziło w niej wiarę w siebie i spokój graniczący z pełnią szczęścia. Jej cel jednak, a wciąż żywy twórcy: oddawać duszę w codziennych czynach dla drugich. I na tem poczuciu oparła się jak na opoce. Wtedy jakby w natchnieniu pomyślała, że słońce jednakiem światłem obdarza i bogacza, i nędzarza, i wody niezmierzonych mórz i rzek, i ulicznych kałuż, i czystych źródeł. Zaśmiała się głośno.

— Słońce wiecznie świecące, a zawsze tak samotne... Kto kocha ten musi wiele przetrwać, wiele przecierpieć... Swoje troski rzucić jak smolną szczapę na ognisko, niech da światło dla drugich. I dzisiaj choć w smutku i osamotnieniu, a przecież taką radość sprawiłam. Jajmużna? Dla nich osłoda. To była najpiękniejsza wigilja.

Odwróciła się i poszła w swoje pracowite życie.

Wśród skłębionych chmur spoczywało niebo, jakby między wzburzonymi brzegami wiecznie błękitna, niedosięga, cicha rzeka. Przemijające obłoki zaćmiewające i odsłaniające słońce, wyjawiały samotnie idącej nauczycielce prawdę czegoś, może znikomości, może nicości, czy zmienności piękna, objawiającego się wciąż w nowym kształcie, zawsze nęcącym, zawsze urzekającym tajemniczością, bogactwem, urokiem, jak samo życie.

Jan Wiktor.

Polska i Litwa

Pieśń ludowa.

I.

*Nie kołysze się kalina i wiklina,
ale siostra siostrę rankiem wspomina:*

*że jej dokuczyła, dożarła, dojadła
własna siostra, nienawistna sąsiada.*

*Zapłata grube markocze, zapina je szpilkami:
„Niech ją piorun trzaśnie, niech ją grad połamie!”*

*I wiąże bicz bursztynów i zaciska mocno chustkę:
„Niech jej życie będzie ciężkie za jej serce puste!”*

II.

*Nie szepce brzoza brzozie, nie szumią klony samotrzeć:
nie daje siostrze spać w południe myśl o siostrze.*

*„Nie urosła większa od motyla,
a już mi była niemiła.*

*Krzyczała nocą w kolebeczce z lęka...
Co się jej dotknę — rączką mię odpycha.*

*Nie dała się myć, nie chciała pić mleka
na jagodach, na grzybach zawsze mi uciekła.*

*Oby ci tak samo — teraz i najczęściej —
z domu uszedł spokój, z rąk uciekło szczęście!”*

III.

*To nie pochylila się sosna, to nie złamała się jodła,
to siostra siostrę w wieczór wspomina nad modą:*

*Jak się brały razem do żniw obfitych,
jak dorodne były, mocne i syte:*

*jak wstawały do krów, do pszczół, do drobiu,
jak w komorze spały obie.*

*Jak inne patrzyły spodełba,
że jedna o drugiej nic powiedzieć nie da...*

*...Jak każda wzięła swój dział... Jak rozstały się w
gniemie,*

a dziś jedna o drugiej nie wie...

*To nie płacze trzcina, że do dna przyrosła,
to siostra lamentuje w wieczór, żałuje siostry.*



Sieci.

(Fot. Poddębski).

Sieć Piotrowa

Pewnego zimnego i jasnego popołudnia, kiedy od dawna już wywiało z Gdyni letników i choinki ranoami stoją jakgdyby już zawczasu potrząsione srebrem na gwiazdkę, idę wzdłuż rybackiego przylądka i patrzę. Wieczór jak wieczór. Niebo u góry tak samo się pali niesamowitą pożogą barw, nieschwytych na żadną paletę, a kutry przycumowane do swoich pali szykują się do snu. Na niektórych czarna, jakby węglem na zorzy kreślona sylwetka rybacza rozpościera sieć, wywindowaną na maszt, aby przeschnęła. Na innych postukuje, coś naprawiając w uszkodzonym sprzęcie morskim, młotek. A prawie na wszystkich smakowicie dymią gotowane na wierzerzę ryby z ранego połowu. Przywieźli ich tu rano pełne, ciężkie sieci, zastawiane aż pod Helem a nieraz i dużo dalej. Zdarza się, że wyprawy rybackie sięgają aż po dalekie wysepki duńskie, docierając do stolicy połowów rybackich — Bornholm, z jego dzikimi i malowniczymi brzegami, o które się roztrzaskała w burzliwy czas niejedna łódź.

Z tych wypraw, z ich gorzkich i słonych przygód, snują się w zimowe wieczory po chatach rybackich długie wspominki i gawędy: jak to było na Bornholmie.

Składa się tak, że właśnie o jednej takiej wyprawie doszły mnie wieści, i obecnie szukam uważnie wśród stojących u brzegu łodzi tej, która jest bohaterką takiej właśnie bornholmskiej epopei. Ale jej nie widać. Jest „GDY 66“, jest HEL 12“, same znane

nazwy, zrozumiałe dla każdego dziecka z kolonji rybackiej skróty nazw i miast. Niema nic, coby przypominało egzotyczny Bornholm.

Aż wreszcie jest! Dla profana kuter jak kuter. Ale miejscowi poznają się na tem, że jestto gość z dalekich wysp. Coraz to ktoś z przechodzących portowych łazików przystaje i ciekawie się przygląda niezrozumiemu napisowi, który intryguje wzrok. Nie jestto Gdynia, ani Jastarnia, ani Bór, ani Gdańsk. Na białem tle czernią się tajemnicze i fascynujące litery:

ROi przez „O“ jeszcze niepokojąca kreska. Wiem, że jest to masonski skrót od „RÖNNE“, miasto na Bornholmie. To tu!

Staję wraz z innemi i patrzę. Na kutrze zwykły wieczorny obrazek. Dwóch mężczyzn siedzi w głębi z fajkami w zębach i naprawiają sieć. Może tę, którą się podarła od połowu, może taką, którą szykują na gwiazdkowe, specjalnie obfite połowy, kiedy to musi starczyć ryb na całą wigilijną, rozległą Polskę. Opodal, na dece kabiny przysiadła kobieta, zawinięta w dużą chustę, w której kwili coś małego i podśpiewuje temu kwilacemu jakieś przeciągłe, senne kołysanki. A mewy, szybujące między zorzą a ziemią w oczekiwaniu na przygodny portowy żer, odpowiadają jej przenikliwym, żalosem kwileniem.

Na moje pytanie kobieta zwraca głowę ku rybakom, siedzącym na pęku skręconych powrozów, w kapuzach kaszubskich, które im osłaniają kark i twarz.

— Panie! Tam do pana interes.

Poszukiwany przezemnie bohater bornholmskiej epopei obraca bez pośpiechu głowę. Jest widocznie już zblazowany na tle swojej popularności w porcie. Nie kwapi się do wywiadów. Tylko przeszkadzają w pracy.

Jednak wstaje, i wyciera ogromnie zasmolone ręce w ogromnie zasmolone spodnie, już zdobne w barwy wszystkich portowych smarów i sadz. Rozczarowanie! Z pod kapuzy nie wygląda bynajmniej wysmagana wichrami, wyostrzona sępim profilem twarz bohatera-rybaka. Z pod kapuzy wygląda dobrodusznna, okrągła gęba, mogła być nieodrodną ozdobą każdego polskiego fornała, parobka czy kowalczuka, który nigdy nawet blisko nie widział morza, a i z wodą spotyka się rzadko, nawet w miednicy. Jako też pokazuje się, że z zawodu jest szewcem.

Po przełamaniu wstępnych lodów, przysiadamy na skraju jakiejś paki i rozmawiamy.

— Że pochodzę to niby stąd, z Polski spod Piotrkowa! Ale jak w roku 1905 wyszła ruska rewolucja, to mój starszy brat był zamieszany. I, powiada, ja lepiej ucieknę do obcych krajów, niż żebym miał choćby i na Sybirze zadarmo gnić! Zmówił się z takim jedynym, co to już te wszystkie chody znał i powiada, tak i tak: jadę na sezonówkę do Danji! No, a żem był mały to na kogo mnie miał porzucić? A do roboty byłem chytry! To me ze sobą wzięli, i już!

— A po duńsku prędko się pan nauczył? Trudna mowa, co?

— I! Mowa jak mowa. Do naszej niepodobna, ale nauczyć się czemuż? Można! Po roku, to już aniby mnie kto kupił, ani sprzedał. Wszystkiego już się mogłem dogadać. No i poszedłem do szewca. Stukać w kopyto tu stukałem, ale nie ciągnęło mnie nic, tylko morze! Tak żem cisnął to kopyto nareszcie w kąt i poszedłem na okrętowego chłopaka. Odtąd dwadzieścia siedem lat, chwalić Boga, po duńskich wodach się pętałem, i jak me przez te lata rzucało, to już gorzej chyba że rzucać nie będzie!

— Przez dwadzieścia siedem lat poza krajem, i tak dobrze mówi pan po polsku! Jakże to mogło być?

— A czemu by nie? Kto nie chce zapomnieć to i nie zapomni! Z polakami tam trzymałem, z polką się ożeniłem, w domu z dzieckiem tośmy po polsku mówili też. Niektórego słowa to, wiadomo, czasem człowiekowi zabraknie: zawsze — obczyzna! Dlatego jak dziecko podrosło, to my się z żoną naradzili i wysłali do jej rodziców do Polski. Do Lwowa, Z początku żonie trochę się markociło. Ty mnie, powiada, chcesz, Piotruś, dziecka jedynego pozbawić? Ale teraz ją tutaj także ściągnę, to będzie dobrze. Jużem jej nawet pisał, że tu w Polsce można teraz żyć!

— A sam pan jak się tu dostał do Gdyni, panie Piotrze? Poprostu przyjechał kutrem i już?

— I! Tak to nie. Sam, to możeby się człowiek i nie ruszył. Zawsze, wzwyczaj się przez te paredziesiąt lat! Ale spotkałem się tam z jednym polakiem, a on znów o mnie opowiedział jednemu tutejszemu dyrektorowi od rybactwa, kiedy tam do nas przybył w interesie. Zgadało się o tem i owem a ten dyrektor do mnie i powiada:

— Przenoś się — powiada — panie Piotrze do nas,

do Gdyni! Czego tu będziesz obcych kamieni pilnował, kiedy — powiada — tam u nas własna nasza Polska wybuchła? My ci — powiada — tak i siak ułatwimy, żebyś się zaczepił! My — powiada — teraz dobrych rybaków i marynarzy sami potrzebujemy! — No i tak jedno z drugim, dość, że podziękowałem mu i mówię: — Pomyśl! Bo to już człowiek nie te lata ma, żeby jedno w kąt cisnąć, a gdzieindziej lecieć za wiatrem. I tak dyrektor sobie pojechał z powrotem do Gdyni, a ja myślałem. Jeżdżę sobie, bywało, za rybami jak to zwyczajnie, a sam myślę i myślę.

— No i zdecydował się pan?

— E! Zdecydować to się nie zdecydowałem. Bo to i żona, i mieszkanie, i kuter już sobie wtedy ten wykupiłem, i dwu ludzi załogi trzymałem. No i wszystkich człowiek na miejscu już zna, o każdym co trzeba wiedzieć, wie! Tak że zdecydować, to się nie zdecydowałem. Ale jak się zrobiło trochę ciepło, tom się zabrał do roboty. Kuter wyporządziłem na glanc, z chłopakami się rozliczyłem akuratnie, z żoną co nieco pogadałem, wsiadłem sam w środek — no, i nie oparłem się aż na Helu! Trzydzieści godzin przy maszynie stałem, prawie że nie odejmując rąk. Bo to wiadomo: nikogo!

— Z Bornholmu? Na Hel? Tym kutrem? I poradził pan?

Pan Piotr wydyma nieco i tak okrągłe policzki.

— I! Poradzić, poradziłem. Od czegoż człowiek przez te lata po morzu się tędy i siędy przewalał? Tyle żem krzyne się sfatygował, bo burza me na pół drogi przychwyciła. Stoję w sterówce przy maszynie, a tu fala przez pokład chlust! I w morze! Chlust — i w morze! Szybka zapłakana, wichher ci wyje ani co widać, ani co słyhać, ręce człowiekowi zgrabiały, a tu nikogo, żeby złuzował, niema! Morze wprzód, morze wtył, a ryczy jak sto wołów razem. Jakem jest człowiek, burzy zwyczajny i niby do morza nawykły, tak nic, tyłkom głowy pilnował i na nogach się mocniej zapierał. Bo to łups: na prawo, łups: na lewo. Myślę sobie wtedy:

Oho! Co tu począć? Od jednego ładu daleko, a i do drugiego nie blisko! Zawrócić? To przed tobą, Piotrusiu, burza. A jechać dalej? To za tobą, Piotrusiu, też burza! A skoro i zawrócić, i jechać równa burza: to wał, powiadam sobie, Piotrusiu, naprzód! Raki tylko tyłem chodzą! I tak dokołatałem się do Helskiego brzegu. I troszkę żem był przymartwy na początku, ale wypocząłem se krzyne, i przylądowałem tu! Wierzyć mi Helscy nie chcieli jakem powiadał żem przykołysał się w tę burzę sam aż z Bornholmu!

— No, no, panie Piotrze! To z pana naprawdę chwiał! A ta Gdynia to się panu wydała jak?

— A wydała mi się! Czemuż? W tem miasteczku można żyć. I głównie że ot tak, z piasku się zbudowało i jest! Powiadają, że z dziesiątek lat temu nie było tu ani nic?

— Nie było! Brzeg, jak ta pięść!... — wpada entuzjastycznie w słowo siedzący na cembrowinie na brzeża przygodny słuchacz, jeden z wiekuistych portowych łazęgów, który chciwie wchłaniał epopeję morską kutra R. Zwiesił nogi nad wodę i wyciąga ku nam długą szyję, aby lepiej słyszeć, tak, że lada chwila wywróci kozła do wody.

Pan Piotr nie zaszczyca go bezpośrednią odpowiedzią, ale z uznaniem kiwa głową.

— Można żyć! Tak, że nawet sieć tutejszą sobie kupiłem i rybakuję. Moja jest za wielkooką: tu ryba drobniejsza, wymyka się! I domek na rybackiej kolonii już mi za kolejką obiecali na spłatę dać także!

— A reszta będzie, jak ma być. Nie powiem: czasem to mi nieco za tamtą stroną markotno! I z ludźmi się zżyłem, i co czas, to zawsze czas: dwadzieścia siedem lat! Ale jak mi dyrektor powiedział, że niby poco, panie Piotrze, masz obcych brzegów pilnować, kiedy Polska wybuchła?... — tom se zaczął myśleć tak i owak, bo i cóż? Zdecydować się nie zdecydowałem. Ale jak wiosna przysła, tom załogę akuratnie wypłacił, kuter sobie wyporządziłem na glans, sam w środek wsiadłem i — —

Bije godzina. Żegnam kuter „RO“ (z kreską) dowiedziawszy się jeszcze dla ścisłości, że jest to skrót od „Rönne“, miasta na Bornholmie, gdzie pan Piotr przerybaczył swoje dwadzieścia siedem polskich lat. Wymykały się przez jego wielkooką, duńską sieć niepostrzeżenie, podczas przybrzeżnych lub dalekich połowów, i kto wie, czyby nie wymknęły do reszty, gdyby nie zawierające w sobie niezwalczony widocznie ferment słowa z rodzimego brzegu:

— Polska wybuchła!

Wtedy, sam jeden przy motorze, sterze i żaglu, rzucany przez burzę tu i tam, puścił się dnia pewnego napoprzek zbuntowanych wód, swoją odważną, małą łódeczką, na trzydziestogodzinny pojedynek, aż dożłował do swojego brzegu. Ale „zdecydować się, nie zdecydował!“ Myślowe spekulacje nie leżą po jego linii: poprostu siadł i pojechał!

Myślę, idąc, o panu Piotrze i o jemu podobnych.

O wszystkich kutrach, które z obczyzny przybiły do nas na tajemnicze hasło: — Polska wybuchła! I tu już zostały, przy tym brzegu. Polsko, Polsko! Jakimże łańcuchem umiesz przycumować serca twoich dalekich, pielgrzymich dzieci, że w końcu muszą powrócić do Ciebie?

Jest wieczór. Jest mroźno i pogodnie. Pachnie choiną i dymem wędzarni, pachnie zbliżającą się Gwiazdką, na którą rybacy szykują sieci do ryb, dla całej wielkiej Polski na Wigilję. Już tylko u skraju niebo pali się wąską smugą czerwieni, wciąta pomiędzy chmury, jak zaćknięte w nocy łuczywo. Kto wie? Może tam, wysoko, siedzi o tej godzinie wieczornej na niebieskim zydelku inny wielki rybak, także Piotr? I przy łuczywie zorzy także szykuje sieć, przeznaczoną na chwytanie dusz ludzkich, aby się nie wymknęły? Stary, siwiutki, w kaszubskim zapewne kapeluchu, osłaniającym przygarbione plecy — gospodarz wszelkiego morza, a więc i polskiego, patron wszystkich rybaków, a więc i naszych też!... Widzę go tak dokładnie, że jeszcze chwilka, a pociągnę za rękaw kurty, którą się przyokrył od chłodu. A kiedy podniesie na mnie stareńkie, bławe oczy, które widziały jeszcze Galileję i morze Tyberjadzkie, przestraszę się może troszkę, ale nie odstąpię. I powiem do tego wielkiego Piotra słowa, które mi się wymknęły z myśli przy opowieści tamtego, małego:

— Święty Piotrze, któryś jeszcze za czasów Chrystusowych tyle razy w potrzebie obdzielał niewieloma rybami i chlebem, mnożącemi się na Jego słowa, wielkie, głodne rzesze! Spraw, aby morze nasze miało zawsze dość ryb, a ziemia dość chleba dla wszystkich łodzi, które z tułacznych dróg chcą teraz przybić do ojczystego brzegu!

M. H. Szpyrkówna.



Łódź rybacka.

(Fot. Poddębski).

Gdzieś zaszczekał pies. Potem drugi. Wkońcu i do ludzi w domkach na Podmiejskiej doszły krzykliwe gadania i rechocące śmiechy. Cabajowa kładła się spać w pokoju za sklepem i ani myślała wyjrzeć, choć w posesji naprzeciwko jacyś hałaśliwie poomacku szukali furtki. Odsunęła do ściany śpiącą Aldonę. Cabajowa tak strasznie lubi wygodnie wyciągać się w łóżku!...

Żółta suka nie szczekała. Nie szczekała nigdy. Przystanęła na granicy ciemności i świetlnej smugi z okna, o każdej chwili gotowa na wszystko... — Radośnie witać gości, jak zażywny domowy pies?... uskoczyć w mrok, rozwiać się, jak włóczęga, jak cień?...

Znaleźli furtkę, zaświecili zapalną, przeszli obok, nic nie wiedzący. Hałaśliwie tupali w sieni.

* *

— Herbatki, mamusiu, herbatki! Panowie zmęczeni i głodni, jak ta najjaśniejsza cholera!

— Gąseski jezdem, — niezgrabnie oznajmiał Gąska.

Pociorka trochę już знаła, ale w tej chwili tak się poczuła, jakby nie znała żadnego z nich. Kłęcząc na ziemi i szykując z trochę starych betów jakie-takie posłanie na tę pierwszą noc, sama jedna w oddechu pustej izby i w mętym blasku naftowej lampczyny, przeraziła się na widok otwieranych drzwi i zaraz zdało się jej, że cały pokój pełen jest obcych, nieoczekiwanie obcych ludzi.

— Siadajcie, panowie, siadajcie, — zaprasza Wietrakowski, biedząc się z paltem, ale że nie było krzesła, więc Pociorek ziewnął jeno do lampeczki, a Gąska stanął sobie przy oknie i począł wypatrywać czegoś za szybą.

— Rozbierajta się chłopcy, i siadajta! Mamusia nam zaraz... Cóż to, mamusia nie słyszy?

Na widok groźnie rozszerzonych oczu zerwała się szybko i odwracając zmęczony wzrok od mężowskiej twarzy, zobaczyła nagle wszystko: — brak stołków, bałagan na stole, wstydlivy barłóg w kącie i nawet własne potargane włosy i pończochy już zupełnie opadłe z nóg. Goście spoglądali z namysłem po ścianach, a na nią ciągle patrzyły rozdrażnione aż do złości oczy męża. Czuła je na sobie i opędzając się od nich rękami, zaczęła z przygotowanym zawczasu jęklivym utyskaniem:

— Klucz mi dałeś inny!... Było już gdzie ciemno, zanim się tutaj dostałam...

— Klucz?... — wybałuszone ślepie oderwały się od niej i pobiegły ku gościom: — Panowie słyszą, co mamusia rzekła? Ja dałam inny klucz! Ja!... Nie mamusia wzięła, tylko ja dałam... Ja! Dobrze sobie, co?

Zaraz potem pogardliwe machnięcie ręką: — Jak nie można dopilnować nawet głupiego klucza, to i gadać nie warto! Takie jest moje zdanie!

Matka, biedząca się z papierami przy kuchni, uczuła nagłą wdzięczność, że już skończone z tym kluczem. Razem z mężowską złością rozwiała się

mężowska przewina, bo przecież koniec końców stary był winien, a nie matka...

Krzętała się teraz przy kuchni w zupełnej ciemności, bo zdjął jej lampkę ze ściany, otworzył drzwi od pokojów i poszedł oglądać z gośćmi dom, pokazywać. Dudnił po pustych pokojach jego rozpanoszony głos, pysznił się z ustawności ścian i z rozległości podłóg, narzekał na nieszczelność futryn okiennych i wydziwiał staromodny kształt któregoś pieca: — Dzisiaj tak nie stawiają! Ooo! Co to, to nie — matka w mroku kuchni nasłuchiwała uważnie i miarkowała po tonie głosu męża jakie to te pokoje są. Zobaczy je dopiero jutro zrana, jak stary zabierze się do Warszawy, chociaż z drugiej strony nie wiadomo, bo może zamknąć drzwi i schować klucz...

Wrócili, wlokąc za sobą jakowąś starą pakę i stolek. Goście patrzyli na Wietrakowskiego z szacunkiem i podziwem, a on nienaturalnie cienkim głosem odstawiał filuta i chytrzył, chytrzył: — Teraz nie, bo całą gotówkę mam ulokowaną, ale jak mi się zwolni ze cztery tysiące, to może i przystąpię do spółki z draniem Wawronem. Ja się tam draniów nie boję, nie, nie można powiedzieć!... Oliwa na wierzch wypływa... Takie jest moje zdanie...

Dopiero w blasku przyniesionej spowrotem lampeczki oceniła matka należycie zawartość kuchni pod płytą. O paleniu papierem nie mogło być narazie mowy, bo trzeba było wyrzucić przedtem z wnętrza na podłogę jakoweś stare szmaty, kromki suchego chleba, gruz i nawet wielki koński ogon, związany sznurkiem i owinięty w żółtą ze starości gazetę.

W pewnej chwili dosłyszala za plecami wśród rozmowy zdanie do siebie skierowane. Poznała je po jedynym na świecie gatunku srogości przesiąkniętej złym śmiechem. Szybko odwróciła się twarzą do groźnie wybałuszonych oczu męża. Znajomy widok. Wódka leje się już w rozdziawione gęby wprost z butelki, jedne ręce krają scyzorykiem chleb, drugie odzierają paluchami w powietrzu salceson ze skórki...

— Pytam ciebie, mamusiu, gdzie jest mój syn?... Ojciec cały dzień haruje, jak koń, a kiedy przychodzi z pracy, to synalka niema...

— Bo ja tam wiem... drzwi jeno otworzył, ten stół wniósł i poleciał z kimciś...

— Ładnie go chowasz, mamusiu...

Nie odpowiedziała. Znów pochyłona twarzą nad czarną dziurą fajerki, wygrzebywała ze środka jeszcze coś, jeszcze coś...

— Pytam się ciebie, mamusiu, na kogo ty go chowasz?...

Westchnęła i poszurała głośno fajerką o płytę kuchni.

* *

Nie i nie. Samym papierem nic się już nie poradzi. Zresztą już i papieru tak jakby nie było.

Matka rozprostowuje plecy. Rozgląda się wkoło, umęczonem, zaczerwienionem od dymu spojrzeniem. Chce sobie przypomnieć: gdzież to ona wi-

HEZABLOND HENRYK-ZAK POZNAN



nierównany
środek
do pielęgnowania
głowy
nadaje włosom
niekny złoty odcień

DLA MEŻA I DZIECKA najmiśszym prezentem gwiazdkowym będą wyroby firmy

JOZEF JIDOMANSKI
warszawska

CZEKOLADA — CUKRY — LANDRYNY

działa jakieś patyki, drzazgi, kawałki drzewa akurat na podpałkę?... tak niedawno, tak niedawno, zaraz, gdzież to było?... poprostu ma je w oczach.... zaraz, czy to nie przy tej komórce, gdzie siedziała z pieskami?

Już! W pośpiechu chwyta włóczkową chustę w wielkie oka, miejską odświeżoną chustkę, o wszystko się zaczepiającą, i leci. Odrazu za progiem ogarnia ją podmiejska noc szeroka i głęboka, surową wilgocią podnosząca się od dołu, ciepłym wiosennym wiatrem pociągająca wyżej, rozplywająca się w górze niebem rozległym, jak świat... Tak, tak, to nie Wronia, nie Krochmalna i nie Leszno...

Suka wyszła z komórki nażarta, ciepła, pewna swego i witała się już jak u siebie w domu. Z ręką na jej kudłach, z fartuchem pełnym drzazeg stoi matka, jakby na coś jeszcze czekała, jakby sobie coś przypominała, coś dawnego, coś najdawniejszego... Wreszcie potykając się pociemku na nierównościach gruntu, wraca powoli, bez pośpiechu, bo czego się ma właściwie spieszyć, o co chodziło, o co był taki gwałt?... o tę herbatę?... A niech sobie czekają,

niech sobie gadają o tych swoich wiecznych sprzedawaniach — kupowaniach...

Do czego innego zrobiło się matce pilno, kiedy odetchnęła tamtą nocą. Do czego innego się spieszyła, kiedy się wreszcie uporała z tą, pożał się Boże, kolacją, kiedy im wreszcie podała mętną herbatę w szklankach i w kubku i resztki tego jejich warszawskiego salcesonu ułożone na wyciągniętym z głębokości tobołów wyszczerbionym talerzu...

Ach, wyjść przed dom, tak jak kiedyś na wsi, usiąść sobie na schodkach, posiedzieć — oto do czego matce jest pilno.

...Noc dokoła czarna, ale dosyć przezroczysta, wierzchem nawet jasna od gwiazd. Psy poszczekują, jeden daleko, drugi gdzieś bliżej, zrzadka i bez zajądłości. Potem milkną oba i jest cicho.

Nie jest cicho. Cicho robi się dopiero wtedy, kiedy ustaje coś niewyraźnego, coś, czego się niezuważa dopóki jest. Nie, naprawdę, czyżby żaby?... A może i żaby, przecież podobno są jakieś glinianki blisko. Zobaczy się po dniu.

Matka opiera głowę o odrzwia, siedzi nieporuszona. Z głębi domu dochodzą coraz to senniejsze, rozwleklesze gadania. Furtka skrzypi. Ktoś cicho idzie po trawie. To Ryś.

Helena Boguszerowska i Jerzy Kornacki.

CZŁOWIEK, KTÓRY WYPŁACIŁ PÓŁ MILJARDA

Ostatni zbliżam się do okienka i odbieram 200 zł., które mi przyniosło szczęście. Zagaduję kasjera.

— Ciekawe, ile pan w życiu wypłacił wygranych loteryjnych?

Starszy pan w okularach uśmiecha się dobroduszenie. Widać, że pytanie go zaskoczyło.

— Przyznam się panu, że nigdy się nad tem nie zastanawiałem. Ale tak na chybił trafił sędzę, że ponad pół miljarда złotych.

— Pół miljarда — powtarzam z niedowierzaniem. Możnaby obliczyć, ile czasu człowiek musi stracić, by wypłacić taką sumę choćby w pięćsetkach. Chyba sto lat...

Pan w okularach śmieje się.

— Tak długo nie pracuję w Generalnej Dyrekcji Loterii Państwowej. Natomiast niech pan weźmie pod uwagę, że wszystkie większe wygrane wypłacamy nie gotówką, lecz czekami na bank. Pozatem większość wygranych podejmują zbiorowo kolektorzy. Inaczej rzeczywiście nawet 100 lat, by mnie nie wystarczyło na wypłaty.

Korzystam ze sposobności i pytam dalej.

— Musiał pan zrobić wiele spostrzeżeń, jak zachowują się wybrańcy losu, zwłaszcza ci nowi milionerzy i krocioy.

— Przeważnie tak jak pan. Są rozmowni i pytaniami zabierają mi sporo czasu...

— Przepraszam. — Chciałem się cofnąć.

— Nic nie szkodzi, nie myślałem o panu. W tej chwili mam czas, nikt nie czeka. Po ciągnięciach co innego. Spostrzegł się, że mimowoli mnie uraził i chciał

mi rozmowę wynagrodzić.—Rzeczywiście mógłbym zestawić kolekcję różnych typów. Przeważnie widzę rozradowane twarze, choć nieco zgorączkowane i zdenerwowane. Inteligencja stara się ukryć swe wzruszenie. Uśmiechnięci, udają spokój, dopiero przy podpisie widzę, jak im ręce drżą. Niedawno wypłaciłem kilkadziesiąt tysięcy złotych jednemu inżynierowi, który ze zdenerwowania nie mógł wprost położyć podpisu.

— A ludzie prości?

— Tu skala jest bardzo rozmaita. Jedni nie zdają sobie zupełnie sprawy z wielkości sumy, którą otrzymują. Kobięcina z Katowic, wygrawszy 200.000 złotych, mówiła, że kupi sobie za nie mieszkanie. Gdy ktoś z boku zauważył, że może mieć za te pieniądze nawet wielką kamienicę, nie chciała wierzyć. Inni są podejrzliwi i skryci. Rozglądają się, czy ich ktoś nie obserwuje, a często zapewniają, że to nie oni wygrali, tylko jakiś przyjaciel, który ich posłał do podjęcia pieniędzy. Często są również natury szerokie, które swoją radością chciałyby obdzielić cały świat. Jeden robociarz, podejmując kilkanaście tysięcy, wciskał mi gwałtem do rąk 2 jabłka i mówił, że chce mi się choć czemś wywdzięczyc, a jabłka te były najcenniejszą rzeczą, jaką miał przy sobie. Czasem również zdenerwowanie ludzi na widok tylu pieniędzy objawia się w rozdrażnieniu i skłonności do kłótni...

W tej chwili nadszedł ktoś do okienka kasy. Kasjer skinął mi głową i zwrócił się do nowego wybrańca losu.

Po stu latach

(W setną rocznicę śmierci Maurycego Mochnackiego, zmarłego 20 grudnia 1834 r.)

Setna rocznica śmierci. Jakże to dawno. Aż dziwne, że tak długi szmat czasu nie unicestwia pamięci samego istnienia. Tak wielka jest moc ducha. Pozwala ona umarłym trwać i wywierać wpływ na żyjących. Jak długo? Któż to odgadnie. Czasami przez wieki, aż, co jest może największym triumfem, idee uczonego lub działacza staną się tak powszechne, tak do gruntu własne całego narodu, że ludzie przestaną wiązać je z ich twórcą.

Z Mochnackiego pamięcią zaczyna się podobny proces ideowy. Wielkie jego bujne, płodne myśli, wiodące w daleką przyszłość, weszły w krew narodu, w jego psychikę. Tajnemi drogami przeniknęły metody trybuna, powtarzane dziś i wykonywane, niezawsze może z świadomością, z jakiego wypłynęły źródła.

Myśliciel, mąż stanu, bojownik, żyje wciąż, choć proch tylko pozostał z jego umęczonego w walce ciała, choć wiek cały dzieli nas od jego ostatniej godziny.

Imię jego zabrzmiało w przedświcie wyzwolenia, w pierwszych latach wojny, wróciło do ojczyzny niepodległej w setną rocznicę walk listopadowych i odzywa się echem dalszych rocznic emigracyjnych.

Powtarza się jednak ciągle tylko działalność tego, tak migawkowo krótkiego życia. Krytyk, romantyk, filozof, trybun rewolucji, żołnierz, historyk powstania, działacz emigracji, nieustannie, aż do chwili śmierci walczący o trwanie męstwa narodu.

Mniej, lub prawie wcale nie mówimy o człowieku. Przypomnijmy go sobie dziś, na pożegnanie odchodzącego stulecia, które dzieli nas od końca życia Mochnackiego.

Nie zapowiada nic z groźnego rewolucjonisty mały chłopiec, tulący się do matki, pieszczony, może nadmiernie, wysuwany, jako najstarszy i najukochańszy na czoło rodzeństwa. Pięcioletniego malca ubierają w półwojskowy strój galowy, aby reprezentował nieobecnego ojca na uroczystym nabożeństwie i wielkim zjeździe ziemianstwa, z okazji wejścia wojsk Księstwa Warszawskiego do Galicji. Małe to wywiera na dziecku wrażenie, niknie ze wspomnień. Pozostaje zato w tych wspomnieniach zegar starego



Popiersie Maurycego Mochnackiego, wykonane przez W. Oleszczyńskiego.

dworu w Bojańcu, zegar nakręcany przez dziadka, czarodziejka maszyna.

Trwają jeszcze i echa psót chłopczyńskich. Był taki stary Niemiec, lwowski pan Hammer czy Szulc. Mieszkano w jego domu i gdy właściciel stanął pod oknem, chwyciło się gąbkę, nabraną wodą i chytrze kropiło przez lufcik perukę, czy łysinę pana gospodarza.

Lekcje, kłopoty, burze szkolne? Nie było. Jak Czarus z „Przedwiośnia“, tak mały Mauryce wtajemniczany był przez ojca w świat wiedzy. Deklinacje łacińskie przeplatano pieszczotami. Rodzina ta kochała się bez pamięci, z domieszką romantyzmu, niemal ekstatycznie. Ale widać system pedagogiczny dobrze działał, czy obiekt był niezwykle, bo kształcony w domu szesnastoletni chłopiec zdaje egzamin w uniwersytecie warszawskim, zdaje, odznaczony

najwyższą pochwałą Bogumiła Lindego.

Stoją do dziś, na ulicy Długiej, naprzeciwko siebie, dwie kamienice, jedna pod Nr. 4, druga 3. Na obu jednakowe tablice, pod czwartym Lelewela, pod trzecim Mochnackiego. Nieraz patrzyli, może rozmawiali z okien, często Mauryce z kolegami przebiegał ulicą do profesora. I tu i tam odbywały się „długie, nocne rodaków rozmowy“. W domku pod numerem trzecim mieszkała cała rodzina, ojciec, matka, dwie siostry i trzech braci. Na parterze salon reprezentacyjny, w którym 30 listopada, na drugi dzień po wybuchu, wypowiedział Mauryce swoją pierwszą wielką mowę trybuna, przed... matką. Na pierwszym piętrze inne pokoje, na drugim, ostatnim, na „górze“ jego pokój. Jaskółcze gniazdo, przylegające ścianą do murów kościelnych, jakby, w latach młodzieńczych, zapowiedź prędkiej wieczności. W pokoiku sofa turecka, biurko, naturalnie z trupa czaszką, (to już tylko romantyzm) i fortepian.

Na tym fortepianie grywał na cztery ręce z Szopenem, o tych koncertach wspomina K. Wójcicki.

„Stefanie *), serce mdleje,
Warszawscy dwaj muzycy,
tych nocy czarodzieje,
Szopenek i Maurycy“.

*) Witwicki.

Muzyka, talent wirtuozowski, równy niemal szopenowskiemu, zarzucony potem dla polityki, literatura, teatr, filozofja, estetyka. Szekspir, Schleglowie, Schelling wypełniają życie. Rozwija się moc twórcza, rozlewa, potężnieje w setkach artykułów, kapitalizuje w krytycznym dziele własnym o literaturze polskiej. Nie pomogą drwiny klasyków, satyryczne zwrotki Koźmiana:

*„Nad rozmową dwóch puszczyków
dziwi się zgraja krytyków.
A mistyczny pan Mochnacki
dowiedzie w stylu mistrzowskim,
że przy tym Zamku Kaniowskim
Trembecki pójdzie pod placki“.*

Nie Goszczyńskiego tylko propaguje, ale wprowadza do Polski kult Szekspira, wydobywa na światło zapoznanego Malczewskiego, głosi pierwszy chwałę Mickiewicza „mistyczny pan Mochnacki“.

Słucha go cała polska młodzież i z nim razem walką o romantyzm kryje przed Konstantym przygotowania do innej walki.

Fanatyczna jest miłość rodziny Mochnackich. Gdy przewali się burza listopadowa, uczucia ich sublimują się do ekstazy na emigracji. W listach Maurycyego każde słowo rozrywa tęsknota i pragnienie ujrzenia rodziców. Jak przedśmiertne błaganie o łaskę brzmią prośby, aby ojciec choć przybył do Paryża, gdzie każda chwila byłaby największym szczęściem służenia mu. Maurycy ma dla ojca formalny kult. Ten człowiek, który sam o nocy 29 listopada mówił, że zrodziła się w jego pokoju, prosił ojca o radę, o jego poglądy, o jego pisma, aby mu dopomagały w kreśleniu dziejów powstania.

Rodzina jest dla tych ludzi fetyszem. Dalecy krewni, Cieńscy z Palanki, ileż otrzymują w każdym liście serdeczności i pozdrowień; to samo stare jakieś kuzynki, dawni przyjaciele.

To samo z miłością braci. Wśród emigracyjnej biedy i choroby spierają się żartobliwie a czule, kto kogo słuchać powinien. Kamil młodszy, ale wyższy szarżą majora, Maurycy tylko porucznik.

A ten rozdzierający list, ostatni przed śmiercią



Kościół Saint - Germain w Auxerre.

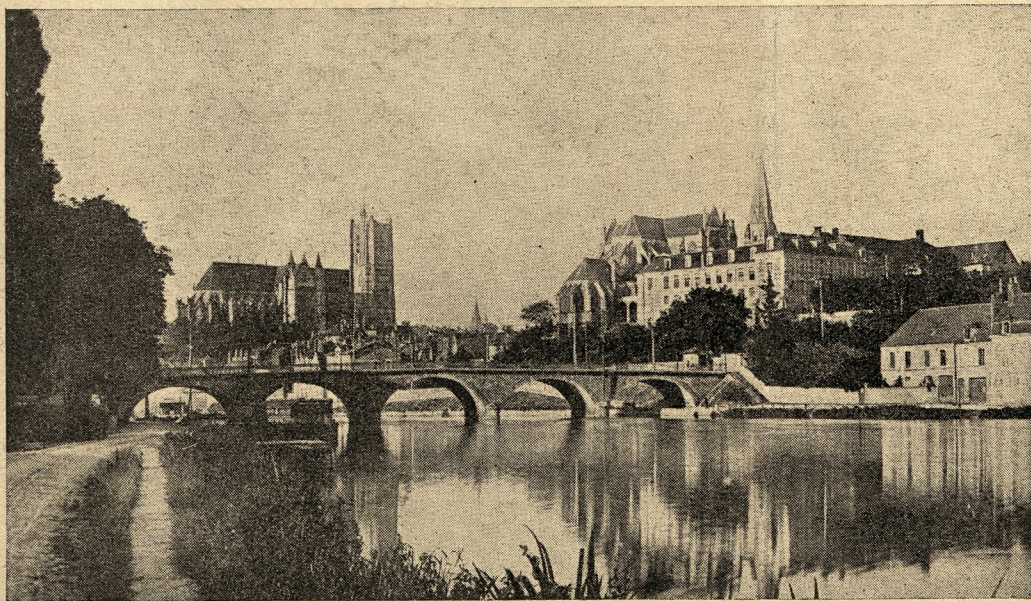
ukochanego „młodszeo“. Kamil to już cień tylko, blady, twarzyczka maleńka, w kącie zdaje się śmierć się czai, a on jak żołnierz z karabinem na warcie broni jej przystępu.

Przeżył go tylko o rok. Rodzice w Galicji, zagrożeni ciągle aresztowaniem przez władze austriackie, wyrzuci ze wszystkiego, tułający się bez domu, przeżyli w ciągu roku śmierć obu synów.

I najstraszniejsza była może dziwna chwila, rezultat ówczesnych warunków, gdy rodzice, przeczytawszy wypadkiem w gazecie opis uroczystości pogrzebu syna w Auxerre, otrzymali w parę dni później list od Antoniego Walewskiego, pisany w wilję śmierci Maurycyego, ale donoszący, że nie ma niebezpieczeństwa, że jest lepiej.

Było istotnie „lepiej“, „bo śmierć nie jest męką“, chyba dla żyjących.

Dziś przeminęli wszyscy. Prochy ich na ziemi pozostały rozdzielone. Kamil i Maurycy zazdroszczą jeszcze „mogił popiołom“. Wkrótce zapewne i popiołów ich nie pozostanie. Nowe prawo francuskie nie oszczędza mogił, o które przez dziesięć lat nikt się nie troszczy. N. J.



Widok katedry i kościoła Saint - Germain z prawego brzegu Yonny. W jednym z domów na wybrzeżu mieszkał Mochnacki.

Wystawa pośmiertna Władysława Skoczylasa

W organizacji tej wystawy krańcowy pietyzm doprowadził do braku selekcji. Pokazano nam wspa-
niałego artystę, jak rzekę nieuregulowaną, od źródeł
aż do ujścia. Od pierwszych niepewnych jeszcze kro-
ków ałaptu sztuki, szukającego dla siebie najwłaści-
wszej drogi wypowiedzenia się plastycznego, aż do
potężnego pochodu Wyrwidęba, wielkoluda drze-
worytu, którego każde dotknięcie było ciosem potęg-
i sławy.

Ta droga, jak bieg rzeki, nie jest prosta, ale fali-
sta, pełna uskoków i załamań. Wielki grafik do ostat-



Autoportret (akwaforta).

nich chwil swego życia ulegał pokusie malarskiej. Zmuszony wskutek chorobliwej wrażliwości skóry wyrzec się malarstwa olejnego, uprawiał akwarelę, dając w niej upust temu nadmiarowi siły żywotnej, która rozsadzała ramy techniki czarno białej. A jednak grafika była właściwym jego przeznaczeniem i dziełem niezniszczalnym.

Docierając dzięki obecnej wystawie do źródeł twórczości Skoczylasa, odkrywamy głębokie, później ze wzrostem indywidualizmu całkowicie niemal za-
tarte nurty wpływów Matejki, Wyspiańskiego, Stani-
sławskiego. Najciekawsza pod tym względem jest
pierwsza sala, którą możnaby nazwać „salą genezy”.
Tam w tych rysunkach węglowych z trudem poznać
można przyszłego Skoczylasa, tak jest odmienny,
archaiczny, rzekłbyś, zeszłowieczny. Pomimo że,



Portret I. Solskiej (akwaforta).

jak zaznaczyłam na początku, na wystawie zgromad-
zono z wyjątkową skrupulatnością wszystko to,
co się ze spuścizny po zmarłym artyście zgroma-
dzić dało, pewne ogniwa rozwojowe wymykają się
spod naszej uwagi i raptem wynurza się przed na-
mi z chaosu poszukiwań prawdziwy Skoczylas-epik,
twórca zbójników podhalańskich i niezapomnianych
głów, wyrzeźbionych rylcem w płaszczyźnie czarno-
białej.

I kiedy się tak patrzy na te stalowe muskuły, na-
pięte w walce, pracy, tańcu lub rozkoszy, na te twarze
buchające pełnią życia, jak wulkany, rozumie się, że



Dworzyszcze (akwaforta).

istotą twórczości Skoczylasa był patos, patos dynamiki, zakłętej w ruchliwe ciało ludzkie, w spokojną, wyrazistą twarz ludzką, wreszcie w swojskie pojętą architekturę, która jak np. „Kolumna Zygmunta” jest raczej sceną narodowego dramatu, niż kompozycją urbanistyczną.

Zatrzymajmy się na chwilę przed głową Beethovena. Jest to jedna z najtragiczniejszych masek na świecie, tak potężna w wyrazie i skupieniu, że mógłby przyznać się do niej Michał Anioł. Rylec artysty zdawał się iść, jak urzeczony, śladami genjusza, złościąc w tej męczeńskiej twarzy fałdy i zmarszczki, promienie od ogniska natchnienia, nakrytego okapem spuszczonej powiek. Każdy prawdziwy artysta odnaj-



Beethoven (drzeworyt).

dzie w tej twarzy część swą tragedji.

Wstęp do starannie opracowanego i prześlicznie wydane katalogu zawiera koleje życia, twórczości, uznania i sławy Skoczylasa artysty, pedagoga, organizatora, pełnego człowieka, którego wolą, energją, inwencją, zmysłem społecznym, instynktem gromadzkim możnaby obdzielić kilku ludzi.

Dobrze, że w tym rwącym potoku ekspansji czynnej nie rozplynał się i nie zatonał wielki artysta.

Zwiedzenie jego wystawy pośmiertnej jest nie tylko hołdem złożonym jego pamięci, ale i obowiązkiem każdego obywatela, któremu rozwój sztuki rodzimej leży na sercu.

Stefanja Podhorska-Okolów.



Kolumna Zygmunta (drzeworyt).



Dziewczęta z koszykami ziemniaków (drzeworyt).

Nowy wiek

Mąż nie mógł jej towarzyszyć. Liczyła na córkę.

— Ależ, matko... Oddawna obiecałaś, że w czasie Bożego Narodzenia odbędę kurs narciarski. Na zobaczenie świata mam jeszcze dość czasu. Najpierw muszę spełnić obowiązki. Przygotować się do służby krajowi. Chyba nie zmusisz mnie, żebym dla osobistej twojej przyjemności...

Obciągnęła mundur przysposobienia wojskowego, wzniosła w górę swą drobną szesnastoletnią osobę.

Więc na odpoczynek konieczny dla zdrowia trzeba jechać samej! Ada nieraz była zagranicą sama, już dawno, gdy miała odwagę i beztroskę dwudziestu lat. Ale w jej wieku... Przyzwyczajona do opieki męża i opieki nad córką musi w czasie świąt być wśród obcych, cudzoziemców, nieszanujących tradycji i uczuć rodzinnych.

Szare dni i noce spędzone w wagonie rozkwitły w różowy ranek nad Adrjatykiem. Okręt, pływający Hotel - Palace, umieścił ją wśród kilkuset ludzi, mających dla ukojenia nerwów krążyć bez celu. Kłopoty z bagażami wydawały się Adzie tak wielkie, że bardzo żałowała nieobecności męża, potem pierwsze chwile zachwytu nad pięknnością morza tak silne, że za-

łowała, iż nie kazała, córce jechać ze sobą.

Światło dalekich, coraz dalszych brzegów... Omijali porty, wyspy, nawet kraje. Pogoda błękitna, czasem tylko ostrzegawczo zadzwonił sygnał, samotny czerwony dzwon. Serce samotnego dzwonu bije w takt z rytmem fali. Dlaczego jej serce ciska się niespokojnie w ciasnej przestrzeni piersi?

Ale gdy tak życie płynie bez godzin, bez ładów i programu, morze fizycznie i moralnie usypia. Wrażliwość ogranicza się do patrzenia. Eskadra mew, nieodłączna towarzysząca statku, czyniła popisy niedostępne dla najbardziej wprawne go pilota. Ptaki widziały ryby przez najgłębszą wodę, jednak z równą niecierpliwością, jak wszyscy, czekały gongu wzywającego na lunch. Był więc jednak ład w godzinach programu. Mąż uważałby z pewnością, że kuchnia zła, córkę nudziłoby zbyt długie siedzenie przy stole.

Ada szybko zapomniała o powziętej w Warszawie, bardzo zresztą przez męża zalecanej taktyce, żadnych znajomości! Skąd wiadomo, kto jest szantażystą, a kto porządnym człowiekiem? Należy się strzec, zarówno mężczyzn, jak kobiet. Jakże się ustrzec, kiedy ci obcy są tacy interesujący? Nie



łączy z nimi ani pokrewieństwo, ani wspólna troska, ale pociąga nieomal każda osoba oderwana od swego gruntu, pewną stopą stojącą na pokładzie okrętu.

Dziś wigilja. Panie, jak zawsze, włożyły do obiadu wieczorowe stroje, panowie też są czarno-biali. Przy kawie międzynarodowe towarzystwo patrzy na światła choinki, syntezę wszystkich obyczajów. Ada patrzy z leżką w oku, dwie najbliższe jej istoty, skupione w jedność, rozbiegły się, prawie do browolnie. Córka wśród koleżanek, mąż u krewnych. A może wybrał znajomych? Ona sama, przed chwilą rozmawiała z kimś, o kim przed tygodniem, nie wiedziała, że tak się nazywa i tak wygląda.

Przypomniała sobie długi już szereg takich dni życia. Wigilja. W dzieciństwie szczęśliwa, bo wró-



Noc wigilijna.

(fot. Poddębski.)

ciła ze szkoły do domu. A jej córka mówi, że tylko w szkole jest dobrze. Ma tam różne wspólne z innymi sprawy, jest równorzędnym członkiem młodego społeczeństwa.

Szkoła zagarnęła dziecko. A kiedyś było w kołysce, potem łożące, biegające, chodzące, tylko z jej pomocą... Pierwsze święta z mężem, w każdej godzinie narodziny nowego szczęścia. Ostatnie święta. Cały dzień dreptania. A wilja... Córka wyrwała się do koleżanki, ach, jak byłoby ciężko podtrzymać rozmowę, gdyby nie radio?

Cóż więc właściwie złego, że dzisiejszego wieczoru nie spędza w domu? Kilka nieoczekiwanych łez pomieszało się z celofanem sukni... Potem zaczęła się, jak inni wesele. Położyła się spać zadowolona, zmęczona zabawą, nie smutna — wysiłkiem fizycznym i duchowym, jak rok temu. Miała zupełnie dziecienny sen o rozwiązaniu dziecinem. Czy sny dzieci, że są dorosłymi, też kończą się logicznie?

Jeden dzień sływał w drugi, noc je dzieliła, nieznacznie. Już Sylwester! Trzeba znów ubrać się najładniej i trzeba będzie pić szampana. Sąsiad jej, południowy Amerykanin, zawsze miły i poważny, dziś wyjątkowo był wesoły. Z nakazem północy wszystkie lampy spłonęły. Na ręce swej uczuła gorącą rękę, przy ustach przelot ciepłych warg. Lampy znów wróciły do panowania nad światem.

— Chciałem panią pocałować. Bałem się spłoszyć ten śliczny uśmiech.

Przedwojenna subtelność, czy prahiszpański romantyzm? A może raczej obawa zazdrości sąsiadki z lewej strony? Ktoś mówił, że to jego amie, choć flirtuje ze wszystkimi, potrafi być wymagająca. Albo wogóle nie miał ochoty pocałować, tylko chciał zrobić przyjemność okazaniem chęci?

Gdyby myślała jeszcze warszawskimi kategorjami, to sądziłaby, że chciał ukraść perły.

Śliczny uśmiech pozostał na ustach Ady. Dla każdego rozpoczął się nowy rok, dla niej, nowy wiek.

Poraz pierwszy szczerze wszyscy troje opowiadali sobie, co było przyjemnego, a co nudnego w czasie wakacyj świętecznych. Mąż upewnił, że jeśli chodzi o menu i jego wykonanie, to nie ma jak moja żona! Matka przyjacielsko wypytowała córkę o jej nowe obowiązki względem Państwa, córka zaś obiecywała, spełnić je w tym roku, a w następnym, zorganizuje rodzicom jakąś wycieczkę.

Ada nie powiedziała, że już nie boi się jechać sama, nie tylko bez celu, ale nawet do jakiegoś celu.

Aura Wyleżyńska.

Tego jeszcze nie było



Posiadacze losów Loterii Państwowej przeżywali w dniu 14 b. m. niezwykle emocje. Stosownie bowiem do planu 31-ej Loterii rozgrywano w tym dniu trzy główne wygrane III-ej klasy — po 100.000 zł. każda, Łaski Fortuny spłynęły przede wszystkim na stolicę, w szczególności zaś na jej zachodnią, fabryczną dzielnicę, zamieszkałą przeważnie przez niezamożną ludność robotniczą.

Właścicielami czterech ćwiartek n-ru 120717 są uwidocznieni na fotografii: panie M. Leśkiewicz i W. N. oraz pp. Wróblewski i Rychłowski, którzy grali do spółki. Wygraną gotówkę wyżej wymienione osoby pozostawiły w Banku Gospodarstwa Krajowego, wychodząc ze słusznego założenia, iż jest to najpewniejsza lokata.

Dodać należy, że wszyscy ci szczęśliwcy spóźnili się z odnowieniem losu. Powinni się też czuć podwójnie szczęśliwymi, że mogli oni bez nadzwyczajnych trudności zrealizować wygraną i otrzymać po 20.000 zł. każdy.

Również i właściciele dwu ćwiartek n-ru 172737 zamieszkują „Daleki Zachód” stolicy; są to pp. Józef B. z ul. Miedzianej i Adam K. z Leszna. Pozostałe dwie ćwiartki tego numeru należą do pp. K. i B. z Łowicza.

Polowa losu Nr. 157289, na który padło trzecie 100.000 zł., należy do p. Emilji I., zamieszkałej pod Dębicą w Małopolsce, jedna zaś ćwiartka do p. Henryka J. z Radomia. Tym razem pleć piękna zatriumfowała punktualnością, bowiem p. Henryk J. wysłał pocztą należność za swą ćwiartkę dopiero w pierwszym dniu ciągnięcia, narażając się na komplikacje i nieporozumienia.

O właścicielu ostatniej ćwiartki nic bliższego narazie nie wiadomo, gdyż nie wymienił on swego nazwiska kolektorowi.

Kto chce być pewnym, że nie narazi się na żadne trudności przy realizowaniu wygranych, powinien pamiętać, że ostateczny termin odnawiania losów do IV-ej klasy mija 31 b. m.



TELEFUNKEN CENAWRAZ z 4 LAMPAMI
3 ZAKRESY FAŁ. ODBIORSTWA
EUROPEJSKICH; ZAMORSKICH
ELEKTRODYNAMICZNY GŁOŚNIK **TRYUMF** **280** zł

WIELKA ANKIETA „BLUSZCZU“

„Czy Kryzys Feminizmu“?

Wobec wielkiego zainteresowania, jakie wzbudził w świecie kobiecym artykuł p. Janiny Strzeleckiej, zamieszczony pod powyższym tytułem w Nr. 50 „Bluszczu“, ogłaszamy niniejszym ankietę z nagrodami na temat: **„Czy kryzys feminizmu“?** dla naszych łaskawych Współpracowniczek i Czytelniczek. Lista nagród będzie ogłoszona w najbliższym numerze „Bluszczu“.

Cenne upominki na Gwiazdkę dla Prenumeratorek „Bluszczu“

Każda z Pań Prenumeratorek, wpłacająca do dnia 1 stycznia 1935 r. roczną prenumeratę wprost do administracji „Bluszczu“
Solec 87 lub Świętokrzyska 17 otrzyma do wyboru:



1) Piękny komplet na toaletę albo garnitur do likieru z kolorowego szkła
lub

2) Komplet wyrobów perfumeryjnych Pulsa

Każda zaś z Pań, wnosząca półroczną prenumeratę w tym samym terminie otrzyma do wyboru:



- a) Jedną parę pończoch jedwabnych w dowolnym kolorze
- b) garnitur z kolorowego szkła do Kompotu albo do ciast (razem 7 sztuk)
- c) barwny obrus bridżowy
- d) flakon wody kolońskiej albo pudełko mydeł firmy Fr. Puls.

Premje

wysyłać będziemy w terminie 2-tygodniowym od dnia otrzymania prenumeraty. Panie Prenumeratorki są proszone o zaznaczenie na blankietach nadawczych, jaką premję wybierają. W przeciwnym razie premje będą wysyłane podług uznania Redakcji.

Oszczędni i wytworni
państwo nabywają obu-
wie męskie, damskie i
dziecięce **j e d y n i e**
w firmie
S. H I S Z P A Ń S K I
Warszawa, ul. Krakowskie Przedm. 7
Istnieje od 1838 roku

**Radzimy na gwiazdkę puder „PYLEK
KWIATOWY“ i perfumy dla blondy-
nek, szatynek i brunetek**

Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Do nabycia w firmie „ŚWIT“ Labora-
torjum Kosmetyków Higienicznych. War-
szawa, Aleje Ujazdowskie 37, tel. 8-92-77
oraz w pierwszorzędnym drogerjach i per-
fumerjach.

Z teatrów

„Dyktator On“, sztuka w 3 aktach Je-
rzeego Zawieyskiego w teatrze Kameralnym.

Cobyśmy zrobili, gdyby na koncercie
męczono nas samymi pięciopalcówkami
i wprawkami? Albo wyszlibyśmy pełni
oburzenia za stracony wieczór, albo po-
wiedzielibyśmy pobłażliwie, że koncertant
się omylił: wprawki odrabia się w domu
u siebie, w „cztery oczy“ (raczej w pięć
nóg) z fortepianem. „Dyktator On“ na-
leży właśnie do typu sztuk na użytek pry-
watny. Powinien był zostać w tece auto-
ra, jako egzercecja eksperymentalna, po-
kazująca na przykładzie, jak nie należy
pisać sztuk. Sama kultura, czytanie, skłon-
ność personifikowania zagadnień politycz-
nych, transpozycja publicystyki na scenę,
to wszystko nie wystarcza, czasem nawet
przeszkadza, do napisania dobrej sztuki.

Pojedynek na ideę i słowo dwóch mo-
carzy: mocarza władzy, dyktatora — z mo-
carzem wiedzy, kończący się moralnym
zwycięstwem uczonego nad tyranem, nie



Zofia Żmigród - Fedyczkowska i Roman Wraga w „Iris“ Mascagniego.

wywieraz należytego wrażenia, poprostu
dlatego, że widz to wszystko już zna, w
lepszem i wcześniejszem wydaniu. Roz-
mowa hrabiego Henryka z Pankracym,
„Wesele“ Wyspiańskiego, wreszcie Rostwo-
rowskiego sztuka o pomniku Mickiewicza.
oto w skrócie rodowód „Dyktatora“. Nie
zawsze dobrze mieć znakomitych antena-
tów. To obowiązuje, ale i obciąża. Można
się czasem doczekać takiego uznania, ja-
kiem papież (zdaje się Leon XIII) obda-
rzył butnego Wilusia: — Ojciec waszej ce-
sarskiej mości był bardzo dobrze wycho-
wanym człowiekiem...

Najpoważniejszym zarzutem, jaki moż-
na zrobić tamtym trzem mocarzom słowa
spowodu ich płodności, jest to, że zrodzili
epigonów. Kult epigona mści się na pier-
wowzorze: pomniejsza go i wypacza, jak

w krzywym zwierciadle. Żadna parodja
nie jest tak szkodliwa dla dzieła, jak jego
nieudolne naśladownictwo.

Jest jeden moment w „Dyktatorze“, kie-
dy autorowi udało się osiągnąć punkt sce-
nicznej napięcia. A mianowicie wtedy,
gdy na balu u Dyktatora w atmosferze na-
ładowanej oficjalnym entuzjazmem i we-
selem, pojedyncze osoby zaczynają odczu-
wać bliskość nieuniknionej katastrofy.
Groza zawisa w powietrzu i... rozechodzi
się po kościach. Nagromadzoną elektrycz-
ność wyładowuje się dziecinny zimnym
ogniem. Oczekujemy zamachu, przewrotu,
rewolucji, a tu tymczasem steroryzowany
uczony zamiast narzuconej mu wiernopod-
dańczej mowy, wypowiada przez radio
kilka frazesów o wolności myśli do swo-
ich dalekich towarzyszy, zgromadzonych
na kongresie, którego celem — obalenie
dyktatora.

Mam niejasne przeczucie, że epilog sztu-
ki miał być nieco inny, i że jego pierwot-
ną drapieżność ugłaskała aksamitna rączka
cenzury. Przecież niejedyn z dalszych lub
bliższych sąsiadów mógłby się obrazić
i słuszenie.

Adwentowicz ujął swego „Dyktatora“
syntetycznie. Miał maskę Mussoliniego, a
mówił jak Hitler. Rola uczonego odegrał
sam autor, nie ustępując w dyskusji ani
na włos Adwentowiczowi. Niestety, sam
obdarzył swego „Księcia Niezlomnego“ idei
słabością fizyczną, która dla Calderona
i Słowackiego jest jednym z niezawodnych
talizmanów uroku poetyckiego, a dla Za-
wieyskiego stała się pechowym rewizytem.
Cóż zrobić! Jednemu i szydła gołą, dru-
giemu i brzytwa nie chcą. S. P. O.



Adwentowicz jako „Dyktator On“.

HURT	DETAIL
WYŻYMACZKA	
RYUMF	
najwyższy gatunek niezrównana jakość oszczędność wysiłku, czasu i bielizny	
Skład fabr. 5-to Krzyska 19 I-sze piętro, tel. 241-51	

Z muzyki

Premjera „Iris“ Mascagniego — Wznowie-
nie „Fausta“.

Zdawało się w ubiegłym sezonie, że żadna siła nie wskrzesi już zamierającego życia warszawskiej opery. Zarówno kryzys, jak nieznane bliżej szerszej publiczności, stosunki zakulisowe nie wróżyły tej placówce muzycznej przetrwania ciężkiego okresu. Okazało się jednak, że dobra organizacja i wiara w pewien system i plan prowadzenia instytucji, niezależnie od jej przestarzałego repertuaru i formy, która naogół nie postępuje równoległe z rozwojem teatru dramatycznego, może rozstrzygnąć o powodzeniu opery. Sprężysta dyrekcja pani Korolewicz-Waydowej umiała zainteresować widownię, a przytem wypełnić ją publicznością, w dzisiejszych czasach szczególnie wrażliwą na ceny, obniżone tak bardzo, że są dostępne dla wszystkich. Jeśli chodzi o stary repertuar, do którego tak chętnie powraca zawsze pewien procent bywalców operowych, atrakcją nie są gościnne występy, ale nowa, inscenizacja, dobrze przygotowana obsada i skład choreograficzny świetnego zresztą baletu. Premjery operowe są wybrane starannie i mają zaletę żywego promieniowania na widownię.

Ostatnią premjerą w operze była „Iris“ Mascagniego. Opera wystawiona w Rzymie poraz pierwszy jeszcze w roku 1898, nie miała w świecie i na scenach operowych tego powodzenia, co „Caval-



Loda Halama w „Rapsodji“ Liszta.

leria Rusticana“, która blaskiem swoim przyćmiła wszystkie inne dzieła Mascagniego. Weryzm „Iris“ nie przemawiał do publiczności dość silnie. Słaby koloryt muzyczny walczył o lepsze, z jaskrawym dość efektem orkiestry organicznie zresztą związanej z tłem i z muzyką chóralną, która na plan pierwszy w tej operze występuje. Niema w „Iris“ miejsca na szeroką, włoską frazę wokálną, która europejskiej także „japońszczyźnie“ Pucciniego zapewniła gorące przyjęcie słuchaczy a śpiewakom największe możliwości. Styl wokalny „Iris“ niema ani tej siły melodji, ani patosu operowego „Cavallerji“, ale przemawia do widowni siłą chóru, który, jako wstęp z hymnem do słońca i zakończenie również do słońca związane w ramach potężnej orkiestry o niewyszukanych zresztą barwach instrumentalnych, streszcza w sobie wartość muzyczną opery.

„Iris“ wystawiono ze starannością i nakładem pracy, która gwarantuje operze żywy poklask publiczności. Przedewszystkiem Zofja Żmigród - Fedyczkowska, której powierzono partję „Iris“ stworzyła idealną kreację, odbiegającą daleko od szablonu operowego. Liryzm wokalny świetnej artystki ma wyraziste akcenty dramatyczne i nieskazitelną intonację muzyczną, a plastyka gry przykuwa siłą ekspresji w najdrobniejszych szczegółach, i bogactwem środków technicznych. Władysław Ladis (Osaka) ma piękny głos, o bardzo szlachetnym brzmieniu, ale często detonuje. Czaplicki (Kyeto) śpiewa pięknie i stwarza doskonałą postać charakterystyczną. Jasny głos Szczepańskiej promienieje w epizodzie Lalki. Loda Halama w tańcu trzech masek porywa publiczność. Dekoracje Wodyńskiego są bardzo barwne i podane ze smakiem. Dyrekcja Dołżyckiego czuwa nad wszystkimi zespołami; tylko rezonans chóru niepotrzebnie rozprasza się po widowni.

Wznowienie „Fausta“ z nowym układem baletowym w „Nocy Walpurgji“ i w nowej obsadzie, okazało się znów atrakcją dla publiczności, która po brzegi wypełniła widownię.

Żmigród - Fedyczkowska wnosi do partji Małgorzaty akcenty prawdziwego życia i zabarwia ją grą, przeprowadzoną w subtelnych odcieniach przeżyć postaci, która najczęściej nie jest w operze niczem innem, jak tylko sopranem lirycznym - koloraturowym.

Konstanty Użejku jako Mefistofeles stwarza dobrą postać dramatyczną, ale ma głos matowy i emisję wybitnie nosową. Ladis - Faust niema jeszcze dość opanowania scenicznego i dość szerokiego oddechu, przy wspaniałym zresztą materiale głosowym. Stanowczo najpiękniej śpiewa Czaplicki jako Walenty. Grudzińska jako Siebel jest sylwetką raczej dekoracyjną. Marta Schwerlein nie jest dla Sowilskiej polem do popisu.

„Noc Walpurgji“ w układzie Jana Czaplińskiego jest widowiskiem o zawrotnej sile wyrazu; bucha z tej sceny żywiołowej żar czeluści piekielnej, porywający



Daniela Krakowska.

doskonałą techniką zespołu baletowego z Lodą Halamą na czele. Dyrekcja Bolesława Tylli bardzo poprawna.

P. L.

Jubileusz Daniela Krakowskiej.

Dnia 9 grudnia b. r. w sali Teatru Małego odbył się poranek z okazji 30-letniej pracy artystycznej znanej skrzypaczki Daniela Krakowskiej. Jubilatka, uczenica profesorów Gromskiego i Barcewicza, dużo w swoim czasie koncertowała, należała do kwartetu kameralnego sekcji muzycznej im. Karłowicza i parokrotnie została odznaczona na konkursach muzyki kameralnej. Była długoletnią kierowniczką zespołu muzycznego w teatrze Polskim. Zawsze gotowa dla dobra sztuki poświęcić osobiste cele, przyczem bardzo uczynna jako koleżanka. Ostatnio dnia 11 listopada b. r. odznaczona Krzyżem zasługi.

W programie poranku było wiele interesujących utworów. Największym powodzeniem cieszyła się „Legenda“ Anny Marji Klechniowskiej na skrzypce i fortepian w prawdziwie artystycznym wykonaniu p. Jadwigi Matiasiakówny, oraz „Bilitis“, Anny Marji Klechniowskiej, tryptyk muzyczny w pełnej inscenizacji, w wykonaniu: p. Kozłowskiej — śpiew, Wileckiej — fortepian, orkiestry pod dyktando Marcelego Popławskiego oraz zespołu Tacjany Wysockiej.

Oprócz wyżej wymienionych wykonano dwie części interesującego kwartetu Heleny Dorabalskiej, śliczne pieśni Zofji Wróblewskiej i Heleny Łopuskiej i t. d.

W kwartecie brała udział jubilatka (I-sze skrzypce), Tawroszewicz (II-gie skrzypce), Tursz (altówka) i Zofja Adamska (wiolonczela). Jubilatce w czasie przerwy zgotowano gorącą owację, odczytano depesze, m. in. od Towarzystwa Krzewienia Twórczości kobiet polskich z Chicago.

Wychowanie i szkoła



W szkołach niemieckich prowadzi się systematyczną naukę przechodzenia przez ulicę.

Wychowanie domowe, jako podstawa koedukacji

Badając zagadnienie koedukacji, rozważamy ciągle różnorodne pro i contra wspólnego przebywania młodzieży w *szkole*, mniej natomiast lub prawie wcale nie zajmujemy się sprawą koedukacji w domu.

A tymczasem sprawa ta jest niemniej ważna. Przedstawia się ona łatwiej, pozornie i to tak łatwo że nikt się nad nią nie zastanawia. Najpierw, niewiele jest, w dzisiejszych czasach zwłaszcza, rodzin licznych, o kilku, tem mniej kilkunastu jednostkach różnych płci. No, więc cóż, dwoje, troje, czy nawet czworo dzieci, więcej dziewczynek, czy więcej chłopców, czy równo — wszystko jedno, przecież rodzeństwo w domu zawsze sobie da radę. Otóż, wcale nie zawsze. Obserwując uważnie, możemy, w najzgodniejszych nawet pozornie rodzeństwach, zauważyć bardzo wiele wadliwego nastawienia wzajemnego zarówno w nauce, jak w zabawie wspólnej.

Pozatem trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że dzieci, nawet w domu, nie mają wyłącznie do czynienia z rodzeństwem, spotykają się przecież z innymi rówieśnikami, z krewnymi i przyjaciółmi.

I wtedy występują nieraz rezultaty, o których, w czasie żywej dyskusji o koedukacji, pisała w jednym z *dzienników* jakaś matka, występując przeciw-

ko koedukacji, bo chłopcy i dziewczynki nigdy nie bawią się zgodnie!

Abstrahując nawet od takich, krańcowo już naiwnych poglądów, musimy stwierdzić, że chłopcy i dziewczynki często nie zgadzają się i nie potrafią dobrze współpracować. Przytem, wbrew utartemu mniemaniu, wcale nie zawsze przeważa poczucie wyższości i lekceważenie płci odmienniej u chłopców. Dziewczynki potrafią to samo doskonale, może mniej otwarcie i agresywnie, ale czasem głębiej i bardziej złośliwie.

A opieka właśnie zaniedbała sprawy współwychowania domowego, więcej, niektórzy rodzice, zbyt przejęci domniemanymi różnicami psychicznymi dwóch płci, sami przyczyniają się do takiego stosunku niewłaściwym sposobem ujmowania tych różnic. Nie zaprzeczając bynajmniej faktu istnienia od dzieciństwa różnic w strukturze psychicznej mężczyzny i kobiety, musimy jednak wziąć pod uwagę, ile z objawów zewnętrznych tych różnic przypisać trzeba wiekowym atawizmom obyczaju i wychowania. Zagródek, ogródek, nakazów, zakazów, którymi otaczamy kobietę nagromadziło się od paru tysięcy lat tyle, że kto może wiedzieć dziś jaka jest naprawdę jej

le, że kto może wiedzieć dziś, jaka jest naprawdę jej psychiczna struktura naturalna. Że warunki środowiska oddziałują silnie na rozwój psychiki, wiemy chyba wszyscy. Najwybitniejszym dowodem tego jest różnica w rozwoju dzieci miejskich i wiejskich, którą uznają największe powagi naukowe. Jeżeli więc takie nawet wpływy powodują znaczne różnice, cóż mówić o wpływie całokształtu wychowania, praw i wszystkich obyczajów od stuleci.

Przeciwnie, na zasadzie logicznego wnioskowania możnaby raczej mniemać, że psychika kobiety potencjalnie bardzo mało się różni od męskiej, skoro potrafiła, odrazu niemal, przystosować się do takiego samego, jak mężczyzna, trybu życia w zakresie wiedzy, pracy zawodowej, a nawet zabaw i sportów.

I dopiero po długich latach badań i doświadczeń, zarówno ściśle naukowych, jak i życiowych, można będzie oddzielić cechy wrodzone od nabytych i stwierdzić, jaka jest istotnie prawdziwa przeciętna *kobiecej* psychiki.

Narazie wszelkie badania, o ile są dokonywane, dotyczą rozwoju, postępów i stopnia inteligencji młodzieży szkolnej, przyczem ta psychologia dyferencjalna lubi stwierdzać, że dziewczęta są więcej subiektywne i uczuciowe z przewagą uzdolnień intuicyjnych i odtwórczych na materiale cudzym, chłopcy zaś bardziej obiektywni i rozumujący, z przewagą syntezy i zdolności twórczych. Wszystko to brać zresztą należy pod uwagę z wielką ostrożnością, ze względu zarówno na długoletnie wpływy różnic wychowawczych i obyczajowych, o których mówiliśmy powyżej, jak i na bardzo jeszcze szczupłe i niewystarczające ilościowo wyniki badań.

Jedno tylko stwierdzić możemy z całą pewnością, co zresztą wiedziała oddawna prawdziwa mądrość życiowa i co dziś potwierdza każde poważne badanie naukowe: poetycką bajką lub weiningerowską czy strindbergowską psychozą są wszelkie opowiadania o antagonizmie i walce płci. Walka może być wynikiem ukształtowań życia i obyczajów, same różnice psychiczne nie przeciwstawiają się sobie wrogo, lecz uzupełniają się w charakterach mężczyzny i kobiety.

I to trzeba przede wszystkim brać pod uwagę w wychowaniu wspólnem obu płci.

A tymczasem akcentuje się różnice, nawet nieistotne, nie kładąc żadnego nacisku na sharmonizowanie różnych właściwości psychicznych. Mały przykład: przy każdej okazji wspólnej zabawy, czy współżycia mówi się chłopcom: bądźcie grzeczni dla dziewczynek. Z czego 1) chłopcy rozumieją, że mają być grzeczni *dla dziewczynek*, a więc sami mogą nie zachowywać prawideł grzeczności między sobą, 2) że trzeba być grzecznym dla dziewczynek, zabawa z nimi będzie nudna, 3) dziewczynki zaś przyjmą do wiadomości, że są czemś, zasługującym na specjalne względy!

O ileż lepiej byłoby zwrócić chłopcom uwagę, aby o ile będzie potrzeba, dopomogli dziewczynkom, a tym ostatnim powiedzieć, aby wpłynęły na chłopców, żeby się zbyt za czuby nie brali.

I tak na każdym kroku, przy każdej okazji, zamiast wytwarzać, na zasadzie uzupełniających się

cech obu płci, współpracę ich i współdziałanie, akcentujemy tylko różnice.

Nie biorę tu przytem wcale pod uwagę prawdziwego zacofania, wyrażającego się (jeszcze się to zdarza jednak niestety) w takich moralach wychowawczych, jak: ty powinnaś ustąpić bratu, albo przyszyć mu guziki, lub sprzątać, co on rozrzuci, bo to do dziewczynki należy! Ale nawet postępowi rodzice, wychowujący dzieci różnej płci w poczuciu ich równości, nie kładą dosyć nacisku na sharmonizowanie psychiki dziewcząt i chłopców. Rodzeństwo kocha się i to wystarcza. A przecież można bardzo się kochać a pomimo tego istnieć może w rodzinie wadliwy nastrój psychiczny. Ileż mamy małżeństw zgodnych i kochających, w których jedna lub druga strona (czasem obie) ma przekonanie o swej wyższości.

Ileż to razy słyszymy: Mania, Zosia, Kazia tego nie potrafi, albo ogólnie: dziewczynki tego nie umieją, lub odwrotnie: chłopcy tu są do niczego! I nikt na to nie reaguje. A tymczasem każdy taki fakt, to okazja do wyjaśnienia dzieciom, że jeżeli różnią się zdolnościami, czy usposobieniem, to przede wszystkim większość tych różnic znajduje się tak samo między samymi chłopcami, lub samymi dziewczętami, a jeżeli nawet niektóre cechy należą do jednej a inne do drugiej płci, to jest to tylko podstawą do współpracy a nie do lekceważenia i drwinek wzajemnych. Trzeba wytłómaczyć sobie i dzieciom, że ani siła fizyczna nie jest żadnym specjalnym atutem życiowym, ani domniemana zresztą większa „delikatność” nie uprawnia do żadnych nadzwyczajnych wymagań. I że różność uzdolnień nie stanowi dowodu wyższości, czy niższości każdego z nich. Przede wszystkim rodzice powinni uświadomić to *sobie*. Skądże bowiem biorą te przekonania dzieci, młodzież, skąd przychodzą z nimi do szkoły. Z domu, gdzie, jak się wyżej rzekło, w najbardziej nawet zgodnych i kochających rodzinach słyszy się co chwila: o! kobieca logika, lub kobieca systematyczność, praca i t. p., z drugiej strony: to męski porządek, praktyczność, oszczędność!

Tego właśnie należy unikać, *przecimstawienia* jednej płci drugiej. Tym bowiem sposobem wytwarzamy zgóry sami podłoże antagonizmu, na który potem długo i żałośnie narzekamy, ale to jeszcze nie wszystko. Wytwarzamy tem także pojęcie nadmiernej, przesadzonej różnicy i odrębności, które u młodzieży stanowi pierwszy stopień zaciekawienia i podniecenia, w chwili zwłaszcza rozwoju seksualnego.

Racjonalne wychowanie powinno polegać na zachęce i wskazówkach współdziałania młodzieży obu płci, w nauce wspólnej i we wszystkich zdarzeniach codziennego życia. Tak prowadzone dzieci, przyzwyczajone do takiego współżycia w rodzinie i w gronie rówieśników będą w szkole koedukacyjnej czuły się tak samo jak w domu. Chłopcy nie będą lekceważyli zdolności umysłowych dziewczynek, dziewczynki pozbędą się kultu dla siły i „wyższości” chłopców, kultu przybierającego często à rebours formę zewnętrznej krytyki i niechęci. Jedni i drugie natomiast wejdą do szkoły przygotowani do zgodnej pracy szkolnej i społecznej.

N. J.

Celowość szkół zawodowych żeńskich

Żywotność tem się różni od bierności, że zmienną jest jej forma, treść, a często bardzo i cel. Wszystko to uzależnia się od potrzeb, jakie ludzkość zgłasza pod adresem życia.

Tak się też ma sprawa ze szkołami zawodowymi żeńskimi, których cel nie został jeszcze zbyt wyraźnie podkreślony. Może niejedną z czytelniczek zdziwi powyższe zdanie, gdyż pod nazwą szkoła zawodowa przyzwyczailiśmy się rozumieć organizację szkolną roczną lub kilkuletnią, w celu przygotowania kobiet do pracy zarobkowej w dziedzinie handlu i rzemiosła.

Istniejącym, bądź też nowotworzącym się szkołom nie zawsze stawia się wyraźny cel. Uważam jednak, iż w celowości szkół zawodowych żeńskich winna istnieć dwiślość: jedne niech przygotowują do pracy zarobkowej, drugie typy niech przysposabiają kobiety do zadań przyszłych żon i matek.

Duża liczba szkół zawodowych o stale powtarzających się działach, nie może dać wyczerpującego wyszkolenia z braku fachowych sił. W konsekwencji, całe szeregi dziewcząt, po ukończeniu szkół, szuka sposobów zarabkowania i nie może zapracować na chleb, gdyż w praktycznym życiu okazuje się fachowość nabyta w szkole daleką od wystarczającej.

W myśl tego, co wyżej powiedziałam, jestem zwolenniczką przeprowadzenia reorganizacji szkół zawodowych żeńskich w sensie określenia im celu, dla którego istnieją, naginając program do tych zadań, jakie szkoła dana ma spełnić.

Przeprowadzę analizę pierwszego celu, a więc przysposobienie kobiet do roli żon i matek. Błędem jest mniemanie, iż wystarczy stworzyć szkoły, w którychby dziewczęta nauczyły się gotować, prać, prasować. Wiadomem nam jest przecież, iż zajęcia domowe kobiet nie tylko obracają się około przygotowania pożywienia dla domowników, prania czy prasowania bielizny i ubrań, ale prace kobiety w domu mają dziedzinę o bardzo rozległych czynnościach. Wszak musi ona być w domu gospodynią, pielęgniarką, wychowawczynią, muszą w niej tkwić zamiłowania estetyczne, kulturalne, intelektualne, gdyż przez to samo zrozumie pracę drugich pojęta, czy to w sposób fizyczny, czy też naukowy, często stanie się inicjatorką podniesienia kulturalnego swojej rodziny, będzie krzewić drzemiące w naturze ludzkiej uczucia estetycz-

ne. A gdy spojrzymy we współczesność, dostrzeżemy również, jak wszyscy się organizują, dochodząc do wniosku, że zdolność i siła jednostki nabiera wartości w zespole. Dlatego powinien być w niej nerw społeczny, któryby pozwolił jej kształcić i przygotowywać domowników do życia społecznego. Cechą tego życia będzie uznanie i uszanowanie wysiłków drugich, umiejętność współżycia i współpracy z drugimi.

Szkoły zawodowe, zorganizowane dla takiego celu, miałyby poważne zadanie, a program ich byłby programem życia, przez to samo nie dającym się streścić w kilku zdaniach.

Drugi typ szkół zawodowych, to szkoły zorganizowane dla celów przysposobienia kobiet do pracy zarobkowej. Wieleletnie doświadczenie utwierdziło mnie w przekonaniu konieczności zakładania niewielkiej ilości szkół zawodowych o jednym dziale, ale gruntownie specjalizujących uczennice w obranym przez nie fachu. Działy te wykorzystywałyby surowiec i korzystniejsze warunki, jakie dana okolica przedstawia dla danego odłamu rękodzielniczego.

Tworzenie szkół zawodowych o jednym dziale pozwoliłyby kierownictwu spełnić należycie swe zadanie, które na nich spoczywa, poza pracą administracyjną i wychowawczą; następnie należycie zgłębić potrzeby i wymagania, jakie rzemiosło stawia życie. Pozwoli kierownictwu nadać pracy w szkole jednolity charakter, wyciskając i w umyśle wychowanek wartość przyszłej pracy zarobkowej. Pójdę dalej, osoba kierowniczką i osób z nią pracujących musi zaprezentować w stopniu doskonałym zamiłowania i uzdolnienia do danego zawodu, połączone z walorami pedagogicznymi.

Przywykłyśmy traktować osoby o uzdolnieniach praktycznych jako odpowiedni materiał na pracowniczki w rzemiosle, niezawsze biorąc pod uwagę główne cechy, jakie powinny charakteryzować fachowczynie w poszczególnych fachach. Tak np. krawieczyna, modniarstwo, taktwo wymaga rozmachu, fantazji, poczucia kolorytu stylu, plastyki.

W szczególnym stopniu posiadać muszą cierpliwość, precyzyjność wykonania i dokładność hafciarki, introligatorki, fryzjerki, osoby kształjące się w zawodzie koronkarskim lub zegarmistrzowskim. Ogromnej pracowitości, systematyczności, zamiłowania do przyrody wymaga się od ogrodnic-

zek, gospodyń wiejskich i miejskich. Nie znaczy to, by cech tych nie miały posiadać osoby pracujące w innych zawodach. Chcę tylko podkreślić te cechy, które winny dominować nad innymi.

Doświadczenie pozwala mi stwierdzić rodzaj potrzeb, jakie życie stawia, żądając coraz większej specjalizacji i umiejętności wykonania przedmiotów, nadających się nie tylko na wystawy, ale prac, z którymi pracowniczki zetkną się w codziennym szarem życiu, liczącem się ze skromnymi dochodami obywateli.

W wyniku dalszych rozumowań doszłam do wniosku, iż niektóre ze szkół zawodowych, o takich działach jak krawieczyna, modniarstwo, nie nadają się do zorganizowania w małych ośrodkach miejskich, gdyż uczennice muszą bezpośrednio zetknąć się z ostatnimi wymogami mody, obserwując smak i gust nie tylko z żurnala, ale w wielkich pracowniach, istniejących w dużych skupieniach miejskich.

Rzecz prosta — zatem idzie konieczność zakładania burs przy każdej szkole zawodowej, gdzie mogłaby pod odpowiednią opieką umieścić uczennice z różnych ośrodków Polski. Miałoby to tę dobrą stronę, że zbliżyłoby młodzież z różnych zakątków kraju, przyczyniając się niewątpliwie do skonsolidowania lepszego i harmonijnego współżycia. *Jadwiga Pramdżicowa.*

CZARNA KAWA T. O. R.

Po tym T. O. R-ze naprawdę sunie współzycie szkolne uczniów. T. O. R., to skrót dobrze wszystkim znanej przy szkołach instytucji, Towarzystwa Opieki Rodzicielskiej, która zwykle kłopotce się i zabiega skrzętnie o ułatwienie warunków życia zastępom tej młodzieży, której od dzieciństwa jest ciężko.

T. O. R. wyznaje zasadę samowystarczalności i dlatego organizuje imprezy, z których najchlubniejszą tradycją szczyci się doroczna „Czarna Kawa”. Ta uroczystość na długo naprzód ożywia umysły całej szkoły. Mobilizuje się wszystkich i wszystko, bo wszystko urządza się własnymi siłami.

Bufet! w którym za 15 groszy dostać można olbrzymią kanapkę lub piramidę kremu, czy innych zamorskich specjałów, jest unicestwiany w błyskawicznym



PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr. M. Biernackiej i Dyr. med. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

tempie przez żarłoczne szkolne społeczeństwo. Ale, że nie samym chlebem (i łakociami) człowiek żyć powinien, więc uczniowie częstkę „dla duszy” przyjmują na siebie. Urządzają koncert z uczciwym nakładem pracy i surową eliminacją dokonaną pośród zespołu koleżeńskich, wschodzących talentów. To też koncert szkolny jest wzorową miniaturową tego typu artystycznych poczyną.

Nie braknie nigdy solowych występów pianistów, skrzypków czy śpiewaków, (może istotnie przyszłych sław światowych) a orkiestra szkolna święci niezmiennie zasłużone tryumfy. Z podziwu godną starannością inscenizowane są bajki, obliczone na najmłodsze audytorjum, ponieważ widownia gromadzi w swych gościnnych murach całą szkołę. A publiczność ta stanowi element niezmiennie wdzięczny.

Nastrój na sali jest szczerzy i porywający, nie więc dziwnego, że obecni wśród młodzieży profesorowie i rodzice ulegają nieprzepatemu urokowi chwili i nagle stwierdzają, ze wzruszeniem, że więc uczuciowa wyrównywa dystans, jaki lata życia żłobią między młodością, a dojrzałością.

M. Ank.

Czasopisma pedagogiczne

Wydawnictwa Związku Nauczycielstwa
Polskiego.

„Poradnik Językowy, organ Tow. Krzewienia poprawności i kultury języka.
Nr. 9. Listopad 1934 r. Warszawa.

„Przewodnik Pracy Społecznej” Nr. 3.
Listopad 1934. Warszawa.

„Ogniw”, organ Sekcji Szkolnictwa
Średniego Związku, Nr. 5, rok 1934/5. War-
szawa.

„Polskie Archiwum Psychologii”, Nr. 1,
rok 1934/5. Warszawa.

„Ruch Pedagogiczny”, organ wydziału
pedagogicznego Związku. Listopad 1934 r.
Warszawa.

Duża część treści tego numeru poświę-
cona jest sprawie wychowania moralnego.
W zakończeniu artykułu dr. K. Dąbrow-
skiego „Z zagadnień metod podniesienia
kultury moralnej społeczeństwa” znajdu-
jemy ciekawy ustęp, dotyczący wpływów
literatury:

„Bardzo poważnym środkiem utrwalenia

Bieżący numer gwiazdkowy podwój-
ny 51-52 nosi datę 22-29 grud-
nia.

Następny numer „Bluszczu” ukaze
się w dniu 5.1.1935 roku.

dodatnich wpływów nauczyciela, wywie-
ranych drogą sympatii i szacunku powsta-
łego w uczniach — byłoby przenoszenie
i uszlachetnienie tej sympatii drogą wią-
zania jej z postaciami wielkich ludzi na-
rodu i ludzkości. Jest niezrozumiałem, dla-
czego brak systematyczniejszego i po-
wszechniejszego wykorzystania dla celów
wychowania moralnego tak ważnej prawdy
psychologicznej, że młodzież w drugiej
połowie okresu dojrzewania, a w pewnej
mierze wogóle, jest skłonna do entuzja-
zmu, podatna na działanie wielkich myśli
i czynów, skłonna do przemian i poświę-
cenia. Uchwycenie tych procesów powin-
no stanowić podstawę do takiego skojarze-
nia myśli, afektów i popędów młodzieży
z wielkimi wzorami, aby zostawiło ono
trwały ślad w psychice młodzieży.



Pierwsze próby na ślizgawce.

Z ubiegłego tygodnia

Kompromis w Genewie. — Więc sukces Ligi. — Tragedja marsylska wskazała zagadnienie. — Trochę o chroniczności komplikacji. — Satelityzm jako podstarwa polityki.

Nie jest to absurdem jeżeli powiemy, że ostatek wydarzenia w Genewie były nie tylko ważne dla sprawy pokoju, ale że były przede wszystkim ważne dla — Ligi Narodów. Instytucja ta miała bowiem w tej groźnej sytuacji, jaką był konflikt jugosłowiański - węgierski, wykazać swoje aktywne możliwości. I dziś, gdy grudniowe dyskusje przyniosły kompromis, gdy uchwalono powołanie komitetu jedenastu państw dla opracowania projektu walki z terroryzmem, znaczenie Ligi wzrosło. Nawet laik w sprawach polityki musi sobie w duchu powiedzieć, że wojna „wisiła na włosku” i że jednak Liga „ma coś do gadania”.

Oczywiście — w tym parlamencie międzynarodowym, jakim jest Liga Narodów, kulisy były bardziej decydujące dla sprawy, niż te wszystkie wymowne oświadczenia i repliki, które rozbrzmiewały na sesjach Rady. Strony sporu musiały się zdać na swoich protektorów, którzy we własnym interesie starali się łagodzić namiętności. Mimo to, już samo istnienie takiej instytucji odsuwa pośpiech wybuchu namiętności i daje możność — wypowiedze-

nia się. Tragiczny fakt marsylski mógł się podczas dyskusyj genewskich przeistoczyć w zagadnienie, którego powszechność po wojnie światowej grozi raz po raz komplikacjami.

Powie ktoś, że zbyt często posługujemy się tem słowem nieprzyjemnym, że właśnie owe „komplikacje” są jakgdyby zasadniczą cechą stosunków międzynarodowych. Zasadniczą i chroniczną... Zapewne — ale przeciwstawia się im, niewątpliwa dziś wola pokoju, okazująca dużą ruchliwość... dyplomatyczną. Ciągłe czytamy o wizytach, zamierzonych podróżach, projektach, które pragną zapobiedz, wyrównać, uzgodnić, załagodzić... Posługuje się dziś dyplomacja słówkami o brzmieniu słodkim i łagodnym, a owcza skóra, zdawałoby się, już wrosła w grzbiet wilka. Wszystko razem nazywa się dyplomacją bezpośrednią i opiera się na „kontakcie osobistym”. Jak dotąd, wyniki są nienajgorsze, bo w dwadzieścia lat po wojnie światowej — tu w Europie do wojny jeszcze nie doszło. Mussolini marzy nawet o powszechnym pakcie nieagresji na lat dziesięć, czyli, że do wojny nie doszłoby i w dalszych dziesięciu latach.

Lecz trzeba pamiętać, że pakt o nieagresji nie wykreślał spraw spornych, odkładając je tylko ad acta na pewien czas. Tak samo pakt, które grupują pewną ilość państw i stwarzają niekiedy ad hoc — wspólność interesów. Zawsze jednak obok dobrej woli jest w tych kombinacjach

Nawet pył kwiatów służy urodzie

Przenośnia poeticka o obsypywaniu ukochanej kobiety kwiatami stała się zwykłą prozaiczną prawdą i jest jednym z codziennych zabiegów kosmetycznych.

Laboratorium paryskie Forvil produkuje subtelny i wonny puder, składający się z pyłu pięciu kwiatów.

Piękna Pani obsypuje swą cerę tym pyłem kwiatnym, niesłychanie drobnym i dobrze przylegającym, a przytem nieszkodliwym, nadającym cerze świeży, młodociany urok. Nazywa się to dziwo kosmetyczne — *Puder 5 fleurs Forvil*.

duża doza chytrłości, uwzględniającej przede wszystkim czyjś interes, mieniący się — nadrzędnym.

W rezultacie więc znowu wszystko ściąga się do wielkiej gry wielkich mocarstw, które chcą otoczyć się satelitami. W rezultacie — powtarzamy — sprawa pokoju czy wojny zawisa od rachuby mocarstw, które będą regulowały podług swojej woli namiętności satelitów.

Nie wiem, czy powyższy wywód tłumaczy się dość dokładnie, ale chyba nie trudno wywieść z niego — politykę Polski, która zupełnie szczerze przyznaje się do tego, że satelitą nie jest i nie będzie.

H. N.



Z powodu przyjazdu wiceprezesa Pen-Clubu Jugosłowiańskiego prof. Swetislawa Petroviča, który wygłosił w Krakowie i Warszawie szereg odczytów o Jugosławii, odbyło się w poselstwie Jugosłowiańskim śniadanie przy udziale przedstawicieli literatury i działaczy polsko - jugosłowiańskich. Na zdjęciu siedzą od lewej do prawej: pp.: Ponziński z M. S. Z., redaktorka „Bluszczu” Stefanja Podhorska - Okolów, Zofja Nałkowska, postanka L. Wolska, prof. Swetislav Petrovič, marszałkowna Boguska, Wacław Sieroszewski, Jan Parandowski. Stoją od lewej: sekretarz poselstwa, dalej Juljusz Kaden - Bandrowski, Stella Olgierd, prof. Benesič, poseł jug. min. Lazarewicz, marszałek Bogucki, sędzia Sądu Najwyższego Krzyżanowski, Kazimierz Wierzyński, Julian Turow i Antoni Słonimski.

KSIAŻKI NADESŁANE

Nasza księgarnia.

Biblioteka dzieł pedagogicznych.

Nr. 13. *Piotr Bobet*: „Instynkt walki”. Psychologia — Wychowanie. Tłumaczyła M. Górską. Nowe wydanie przejrane i uzupełnione według II wydania franc. przez H. Dobrowolską.

Nr. 45. *Carleton Washburne*: „Przystosowanie szkoły do dziecka. „System winietki”. Przełożył z oryginału Józef Priechner.

Peter Petersen: „Szkoła wspólnoty życia”. Plan jenański, wolnej powszechnej szkoły ludowej. Przekład dr. J. Jędrzychowskiej. Z przedmową prof. Bohdana Nawroczyńskiego.

Teodora Męczkowska: „Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży”.

Z praktyki szkolnej.

Nr. 21. *Poznajmy warunki pracy dziecka*. Praca zbiorowa komisji sekcji psychologii szkolnej przy Tow. Psychologicznym im. J. Joteyko.

Nr. 22. *Fr. Krawczykowski*: „Ćwiczenia cielesne dziesięciminutowe i śródlekcyjne w szkole powszechnej. Z przedmową M. Krawczyka.

Dom Książki Polskiej.

Marja Bohdan - Niedenthal: „Ucayali raj czy piekło nad Amazonką. Z 38 ilustracjami.

Halina Auderska: „Poczwarki wielkiej parady”. Pamiętnik maturzystki.

Jerzy Bandrowski: „Pałac połamanych lalek”, powieść.

Zygmunt Doliński: „Wieczny młyn”. Powieść współczesna.

Zygmunt Doliński: „Miłość i czyny Loli”. Powieść współczesna.

Zygmunt Doliński: „Niezwyczajny pomysł dr. Anapesta”. Powieść współczesna.

Aleksander Salvik, major W. P.: „W zwycięskim pochodzie. Pamiętnik z czasów walk III bataljonu 25 pułku piechoty. Wydane w Radomiu.

Antoni Białynia: „Na nowej drodze”. Powieść. Toruń.

Witold Boehm: „Zwalczanie starzenia się”. Jak osiągnąć wiosnę urody do późnej starości. Tow. Wyd. Rój.

H. Wildecki: „Niebezpieczeństwo żydowskie”. Poznań. Nakładem autora.

Gebethner i Wolff.

Jalu Kurek: „Grypa szaleje w Naprawie”, powieść.

Frnciszek Körmundi: „7,15 Via Bodenhach”. Autoryzowany przekład z węgierskiego Rezső Schütza.

William Locy: „Badacze życia” (Biology and its makers). Autoryzowany przekład z angielskiego z dopelnieniami, przedmową i pod redakcją prof. dr. Jana Wilczyńskiego.

Józef Andrzej Teslar: „Metamorfozy”. *Wacław Berent*: Pisma. Tom VIII i IX. Nurt.

Tow. Wydawnicze „Rój”.

Melchjor Wańkowicz: „Szczeniące lata”.

Melchjor Wańkowicz: „Opierzona rewolucja”.

Wanda Kragen: „Dymy nad Azją”.

Wanda Wasilewska: „Oblicze dnia”. Powieść-reportaż.

L. Rubinstein: „Szlak samurajów”. Z upoważnienia autora przełożyła z rosyjskiego Halina Pilichowska.

Ewa Szelburg-Zarembina: „Bursztynowy talizman”. Opowiadanie z czasów dzisiejszych. Okładka i ilustracje Mikołaja Wisznickiego. 1935. Nakładem K. S. Jakubowskiego we Lwowie.

Ewa Szelburg-Zarembina: „Tajemnica Czeremoszu” (Polska i świat Współczesny. Biblioteka Młodzieży). Gebethner i Wolff. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

Dla młodzieży.

Robert W. Chambers: „Czerwona stopka”. Z oryginału angielskiego przełożyła J. Sujkowska.

L. M. Montgomery: „Ania z Avonlea”. Dalsze dzieje Ani z Zielonego Wzgórza. Z angielskiego przełożyła B. Bernsteinowa. Wydanie trzecie.

Zane Grey: „Krwawe pogranicze. Z oryginału angielskiego przełożyła J. Sujkowska.

Zofja Meissnerówna: „Marynarze z Delfinu”.

Dla dzieci.

Edmund Chodak: „Dzieci na wsi”. Z 15-ma obrazkami Stefana Norblina, ręcznie kolorowanymi.

Edmund Chodak: „Jak to bywa w szkole”. Z 15-ma obrazkami Stefana Norblina, ręcznie kolorowanymi.

Edmund Chodak: „W zimie”. Z 14-ma obrazkami Stefana Norblina, ręcznie kolorowanymi.

Marja Konopnicka: „Poezje dla dzieci”. Wybór 200 utworów wierszowanych.

Dla dorosłych.

Bolesław i Józef Adamowicze: „Przez Atlantyk”. Spisał z relacji lotników i opracował St. Strumph Wojtkiewicz. Pod egidą aeroklubu R. P.

Marja Vauban i Michał Kurciewicz: „Podstawy rozmowy towarzyskiej”.

R. A. Lanczar: „Pasjanse”.

Książnica - Atlas

Dr. Władysław Natanson: „Widnokrąg nauki”.

Dokoła Polski. Biblioteczka geograficzno-krajoznawcza. Wydawana staraniem zrzeszenia polskich nauczycieli geografji, t. 1.

Dr. E. Pasendorfer, docent uniwersytetu Jagiellońskiego: „Jak powstały Tatry”. Z 40 rysunkami w tekście i 12 tablicami.

Główna Księgarnia Wojskowa.

Karol Koźmiński: „Józef Sulkowski”.

Dr. Wacław Korabiewicz: „Kajakiem do minaretów”.

J. Baran, W. Sikorski, A. Wójcicki: „Pilka koszykowa”, podręcznik dla klubów sportowych, szkół, wojska, stowarzyszeń P. W., wskazówki dla instruktorów, sędziów i graczy.

Biblioteka sportowa.

Nr. 9. *Jerzy Podoski*: „Pistolet w walce i sporcie”. Ilustracje wykonał Marjan Wołnicki.

Nr. 35. *Inż. Jerzy Grabowski*: „Pilka nożna”. Historia, technika, taktyka i przepisy gry z fotografiami i rycinami w tekście.

Wydawnictwa periodyczne.

Verbum III. Kwartalnik poświęcony zagadnieniom kultury współczesnej.

Sport i wychowanie fizyczne. Organ światowego Związku Polaków z Zagranicy.

Młody Polak Zagranicą. Czasopismo działu młodzieżowego światowego Związku Polaków z Zagranicy.

Architektura i budownictwo. Miesięcznik ilustrowany.

Świat i życie. Tom II. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury.

Sprawozdania.

Sprawozdanie pięćdziesiąte drugie z działalności Kasy im. Mianowskiego, Instytutu popierania nauki. za 1933 r.

Sprawozdanie z drugiego Konkresu Kultury Fizycznej Kobiet, odbytego w dn. 28 i 29 kwietnia 1934 r. w Warszawie. Nakładem Tow. Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet.

Monografie muzyczne.

Opera. Monografia zbiorowa pod redakcją Mateusza Glińskiego. Nakładem miesięcznika „Muzyka”.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. J. K. w Mysłowicach.

Zarząd Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem mieści się w Warszawie, Żórawia 26. Przewodniczącą jest p. Męczkowska.

Zarządowi Szkoły Zawodowej im. św. Andrzeja w Krakowie.

Prace konkursowe na konkurs dramatyczny Rady Organizacyjnej Polaków Zagranicą należy nadsyłać pod adresem Rady Organizacyjnej — Mazowiecka 1.

Odpowiedzi Działu Robót ręcznych.

Siostra Marja Szeńk, Sokal.

Wszelkie potrzebne materiały do kościelnych robót znajdzie Siostra w firmie „Strakacz”, Miodowa 11, Warszawa.

P. Franciszka Moesowa, Toruń.

Sz. Pani opisała nam wyczerpująco ścięgi, które niezupełnie odpowiadały opisowi w książeczce. Aby je sprawdzić, przerobić i jeszcze raz przesłać ich opis potrzebnaby nam była stała osoba, zatrudniona objaśnianiem przenumeratorek. Możemy Sz. Pani jedynie polecić pismo „Ja to zrobię” — w prenumeracie 1 zł. miesięcznie, które objaśnia najszczegółowiej wszelkie roboty ręczne.

P. Wera Raduńska, Tczew.

Polecamy Sz. Pani jako źródło wszelkich pomocy do robót kościelnych, firmę Strakacz, ul. Miodowa 11, Warszawa.



**Emmes
na gwianolke!**

Dobra nowina

W wieczór wigilijny ruch w niebie był wielki. Św. Piotr, zrywając kartkę z niebieskiego kalendarza, kręcił głową, aż mu się siwa broda mieniła srebrzyście. Był bowiem zgniewany na św. Mikołaja, gdyż ten jak zawsze, o wielki śnieg Pana Boga prosił, a on przez tę niepogodę nie bardzo mógł dojrzeć z nieba, co komu potrzeba. Musiał się więc zdać na aniołów, którzy mieli lepsze oczy, jednakże powściągliwie się do ich zdania odnosił:

— Dobrze to, serca mają złote, ale rozwagi brak...

Kłopoty więc miał nielada, a najbardziej gniewało go to, że św. Mikołaj rad, iż śnieg pada, chodził po niebie zadowolony i skoczne kolendy półgłosem śpiewał. Ofuknął go więc kilka razy św. Piotr, i św. Paweł też przygadał, ale „gwiazdor” dobrego humoru nie tracił i tylko uciecha była z tego wszystkiego dla aniołków.

Wreszcie, kiedy już wszyscy byli gotowi, stanął św. Piotr na obłocznym wzniesieniu i przemówił do zebranych uroczyście:

— Odwiedźcie wszystkie domy tej świętej nocy. Domy zamożnych, chaty ubogich, szalasy nędzarzy i przytułki chorych. Tym, którzy jadła nie łakną, zanieście nakaz miłości i czynienia dobrze wśród łaknących bliźnich, pokutującym, przebaczenie, nieszczęśliwym, ukojenie, nędzarzom i chorym, słowa otuchy, a wszystkim uśmiechy pojednania, co złotą nicią wiąże serca ludzkie, aby rozgorzały za rem bratniej miłości. Niech będzie pokój ludziom dobrej woli. A ty święty Mikołaju, dodaj już udobruchany, rozdaj, co komu należy.

Zatrzepotały skrzydła anielskie, aż się szum poniósł większy w przestworzu.

Spłynęli gromadnie i rozpierzchni się po ziemi, błędząc po ścieżkach wśród chat, wciskając się między ulice miasta, niewidzialni.

Noc była cicha, grudniowa. Za oknami jarzyły się światła. Dzwoniła kolenda. Uśmiechali się rozrzewnieni, ale było i tak, że uśmiech gasł na ich twarzach.

Pierwszy anioł Krzysztof zatrzymał się u wejścia szpitalnego. Westchnął ciężko. Bał się poprostru



Tadeusz Bocheński, speaker Polskiego Radja w otoczeniu podarków gwiazdkowych od radjosluchaczy.

smutku i opuszczenia bielonych sal i rzędów bliźniaczych łóżek i... tych co tam cierpią. Jak ich pocieszyć?!

Stał u drzwi pierwszej sali. Z najbliższego łóżka dobiegł go szept:

— Siostro, kolendy! Kolendy śpiewają, wie siostra... przecież u nas w domu teraz też... a ja, tak jakbym z nimi—szeptała uśmiechnięta chora, przyciskając słuchawki do uszu.

Z końca sali doleciało cichutkie nucenie — „Poszli wszyscy do stajenki...”

— Moje dziecko, nie wolno się wysilać — odzywa się siostra.

— Ale siostro, kiedy w radio nadają taką cudowną audycję, aż zapomniałam, że jestem chora i że mi nie wolno śpiewać...

Anioł Krzysztof zdumiał się wielce.

Noc Wigilijna... samotność... opuszczenie szpitalnej sali rozjaśniana nuta kolendy, płynącej podniebną falą eteru.

Anioł Henryk brnął przez zasypane śnieżne do wioski podgórskiej, która się zwała Nędza Pszeniczna, a leżała pośród gór zdala od miast i pędziła swój cichy żywot ubogich gospodarstw.

Już zdala usłyszał kolendy i nie wierzył własnym uszom. Zawsze tu było cicho, smętnie... Podszedł bliżej do okna, skąd śpiew dochodził. Była to duża szkolna sala, a w niej zgromadzeni koło głośnika górale wraz z nauczycielką i dziećmi słuchali w zachwyceniu

koncertu wigilijnego. Twarze mieli, jak kolorowe kozuchy, odświętne.

Zasłuchał się anioł wraz z nimi i długi czas stał za szybą zadumany.

Aniołowi Danielowi wypadła droga do więzienia.

Na schodach doszły go już głosy w jadalnej sali. Zaciekawiony stanął na progu i patrzył. Gromada więźniów zebrała się przy głośniku i słuchała. Twarze jednych w zamyśleniu przeżywały słyszane słowa, inni, zasłoniwszy twarz rękoma, kryli łzy, naddiegające do oczu, inni w tęsknocie patrzyli przed siebie, jakby odeszli stąd daleko... Słowa, z głośnika zdawały się być drogą, która wprowadzić miała posłannictwo Anioła Daniela do serc tych ludzi w szatach więziennych.

Z głośnika płynęły słowa audycji dla samotnych:

— Każdy smutek ma swoją, gdzieś na horyzoncie ukrytą gwiazdę nadziei. Może czasem wiele wytrwać trzeba, aby dojrzeć, ale patrzymy z ufnością przed siebie, bo ona świeci dla nas, tak jak świeciła w tę noc tajemniczą trzem królom i pasterzom. Czekajmy więc pełni ufności na przebaczenie, na radość i ukojenie...

...a kiedy wracali, mówili między sobą radośni aniołowie, że w tym roku mniej znaleźli samotnych i opuszczonych na ziemi i radzi byli, że zanoszą z ziemi taką „dobrą nowinę”, do nieba.

ŚWIATŁO WIEDZY, SKARBY KULTURY
UPRZYSTĘPNISZ ANALFABECIE, NAUCZYWSZY GO CZYTAĆ.

Wskazówki w sprawie „Miesiąca walki z analfabetyzmem” w Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Krak. Przedm. 7.

Kobieta w świecie i w domu

IRLANDZKA REWOLUCJONISTKA O POLSKIM NAZWISKU.

„Konstancja Markiewiczowa pochodziła ze szlacheckiej rodziny, zdawna osiadłej w irlandzkim hrabstwie Sligo i była córką Sir Henryka Gore-Booth.

Młodość Konstancji upływała normalnie, jak młodość przeciętnej panny z wyższych sfer angielskiej średniej szlachty. Tylko odznaczała się ona już w tym okresie nieustraszoną odwagą, której dowody dawała jako amazonka, szczególnie przy polowaniu par force. Piękna, subtelna, pełna żywości umysłu, wywierała na otoczenie niezwykle urok. Sławili ją obaj najwięksi poeci współczesnej Irlandji, William Butler Yeats i George William Russel, lepiej znany pod pseudonimem A. E., którego wiersz „Do Konstancji w celi więziennej” należy do jego najslawniejszych utworów.

Konstancja studjowała malarstwo w Londynie, później wyjechała do Paryża i tam spotkała polskiego hrabiego Kazimierza Józefa Dunin Markiewicza.

Życie rodzinne mimo przyjsia na świat syna nie dawało Konstancji zadowolenia i zczasem przestała ona zupełnie troszczyć się o męża i dziecko. Absorbowała ją polityka. Nacjonalizm irlandzki siedł w parze z radykalizmem społecznym i hrabina współpracowała z grupą socjalistów Connolly'ego.

Czasy były burzliwe. Południowa, rolnicza celticka i katolicka Irlandja coraz głośniejsz domagała się samorządu (Home Rule) i dzięki temu, że posłowie irlandzcy stanowili w Izbie Gmin ięczyzek u wagi, miała duże szanse jego osiągnięcia. Lecz północna Irlandja, fabryczna, silnie skolonizowana przez Anglików, postanowiła się temu przeciwstawić i stworzyła silne formacje ochotnicze, gotowe do narzucenia południowi siłą swej woli. Wobec tego i na południu zaczęto tworzyć armję ochotniczą.

P. Markiewiczowa brała we wszystkim żywy udział. Organizowała demonstracje i zamachy, agitowała, osobiście ćwiczyła skautów w strzelaniu, ażeby można ich było użyć w przyszłej walce. Czas wolny od tych zajęć poświęcała pracy społecznej. Nie należała do tych socjalistów, którzy swych hasel używają do politycznego wybijania się na wierzch. Odwiedzała najuboższe dzielnice Londynu, pielęgnowała chorych, gotowała obiady dla ubogich. Fundusze zebrane na te cele, nie wystarczały, więc ustawicznie dokładała ze swych coraz mniejszych dochodów.

P. Markiewiczowa należała do bezwzględnych zwolenników walki. Jeżeli jednak pada na nią część winy wywołania rozlewu krwi, to w okropnych dniach 24 do 29 kwietnia 1916 wykazała heroiczną odwagę i pogardę śmierci. Wśród piekła ognia dział angielskich świeciła przykładem, strzelając i rzucając granaty ręczne, zagrzewając do oporu i kierując kontratakami. Prawdziwym cudem wyszła z boju żywa i bez rany, lecz wraz z innymi przy-

Przeciw bólom
artretycznym
i reumatycznym
B A L S A M
BENGALSKI
KARPIŃSKIEGO
Cena: zł. 2.30

wódcami powstania dostała się w ręce nieprzyjaciela, rozjątrzonego oporem, zresztą zdecydowanego bezwzględnie stłumić złowrogi ruch, który mógł mieć nieobliczalne następstwa.

Piętnastu przywódców rozstrzelano. Konstancję Markiewiczową skazano również na śmierć, jak brzmiał wyrok, „za wzięcie udziału w zbrojnym buncie i w wojnie przeciw Jego Królewskiej Mości”. Ze względu na płeć ulaskawiono dzielną kobietę — na dożywotnie więzienie. — Znosiła swój los z godnością i spokojnie.

Podczas pobytu w Aylesbury doświadczyła Markiewiczowa pierwszego dowodu wdzięczności Irlandczyków. Demonstracyjnie wybrano ją posłanką do Izby Gmin (jako wogóle pierwszą kobietę).

W kilka lat potem ojczyzna ich uzyskała już nie samorząd ale prawie zupełną niezawisłość. Wówczas otworzyły się wrota więzień i przed skazańcami irlandzkimi. Konstancja Markiewiczowa odzyskała wolność.

Pozostała nadal niestrudzoną pracownicą społeczną. Gdy, licząc lat 59, zachorowała śmiertelnie, zaprotestowała przeciw specjalnej opiece lekarskiej i kazała przewieźć się do szpitala dla ubogich, tam też umarła.

ZGUBIŁA BRANSOLETKĘ WARTOŚCI
250,000 ŻŁ.

Dzienniki haskie donoszą, że następczyni tronu holenderskiego, księżniczka Juljana, zgubiła w Londynie podczas uroczystości ślubnych ks. Maryny i ks. Kentu cenną bransoletę, wysadzaną brylantami, wartości 7,000 funtów szterlingów. Policja Scotland Yardu czyni energiczne poszukiwania za zgubą.

ROOSEVELT — ŻONATY Z POLKĄ.

Jak donoszą z Detroit, przy ostatnich wyborach do legislatury stanu Michigan otrzymał mandat z zachodniej strony miasta Detroit Joseph Roosevelt, posługujący już od dwóch lat z tego okręgu. Dopomogło mu do zdobycia tego stanowiska wiele głosów polskich. Polacy popierają go, bo jest żonaty z Polką i mieszka w dzielnicy polskiej, choć sam jest Włochem z pochodzenia. Roosevelt miał jednak wśród

Polonji również i przeciwników, uważających, że urząd ten należy się Polakowi.

KOBIETA Z PRZED 1500 LAT.

W okolicy Malborga odkryto starożytne cmentarzysko. W jednym z grobów, który zupełnie dobrze się zachował, pochowana była kobieta wraz ze swymi klejnotami. Charakterystycznym jest to, że na nogach trupa leżał spalony słup — zwyczaju tego dotychczas nie znano. Zmarła leżała głową ku północy, twarzą zwrócona ku wschodowi. Ten sposób chowania zmarłych praktykowali germanie do czasów nowszej epoki kamiennej. Na rękach miała zmarła ozdobne i precyzyjnej roboty bransolety, pas ozdobiony był blaszkami miedzianymi. Przy pasie wisiały jeszcze szczątki jakiegoś przedmiotu skórzanego. Naokoło szyi znajdował się naszyjnik z różnokolorowymi perłkami m. in. także bursztynowymi oraz z muszelką pochodzącą z okolic południowych Europy. Grób pochodzi z roku mniej więcej 400 po Chrystusie.

NAJSTARSZA TANCERKA NA ŚWIECIE.

Najstarszą tancerką na świecie jest niewątpliwie, Japonka, nauczycielka tańca gejsz, Katayama Haruko, która obchodziła w tym roku 96-tą rocznicę.

KOBIETA, KTÓRA PIJE TYLKO WODE.

Fenomeny fizjologiczne, pomimo, że dotąd są zagadką dla lekarzy, zdarzają się względnie często. Niedawno, w miejscowości bawarskiej Rosenheim „odkryto” niejaką Helenę Mannheim, 17-to letnią dziewczynę, która od dwóch miesięcy przestała przyjmować wszelkie pożywienie.

Pije tylko wodę.

Do Rosenheim zjechali lekarze, zainteresowani zagadkową i nieprawdopodobną djetą młodej kobiety.

Co najważniejsze. Helena Mannheim — jak wynika z opowiadań miejscowej ludności i zapisków archiwalnych — miała już poprzedniczkę w Rosenheim, która była analogicznym fenomenem!

Przed 50 laty, niejaką Marja Furtner „odżywiała się” od szesnastego roku życia do chwili śmierci wyłącznie wodą. Po przebyciu ospy w bardzo ostrej formie, Marja Furtner przestała przyjmować gorące pokarmy, a po krótkim czasie również zimne.

Przez kilka lat nikt poza miejscową, nieliczną i ciemną ludnością, nie zainteresował się bliżej osobliwą kobietą. Dopiero gdy Marja Furtner liczyła 22 lata, zwrócił na nią uwagę lekarz z Niederaschau, dr. Ramos. Po długich namowach skłonił ją do poddania się kontroli w klinice.

Przy rozpoczęciu badań ważyła kobieta, pijąca tylko półtora litra wody dziennie, 44 kilogramy. Opuszczając szpital nie miała zmniejszonej wagi. Jeden z lekarzy, profesor Schafhautl opisał ją w notatkach jako kobietę „niską, niespełna 1,40 metra wzrostu, szczupłą, o bladej, przezroczystej cerze”.

GWIAZDKA W BERLINIE.

W Berlinie rok rocznie w okresie świąt Bożego Narodzenia na jednym z placów śródmieścia bywa wystawiona kolosalna choina.



WIELKA RADOŚĆ.

Brzdące ze żłobka w Windsorze bawią się zabawkami, które nadesłała im córka królewska, księżniczka Mary.

PIERWSZY X-mas PUDDING.

Burmistrz Hammermitts kosztuje pierwszy X-mas Pudding wyrobu cukierniczej firmy Lyons.

Firma Lyons eksportuje na cały świat, w specjalnych na ten cel opakowaniach, około 229 tonn X-mas Puddingu.



OWACJA DLA ULUBIONEGO PRZYSMAKU.

Młodzi marynarze na pokładzie statku ćwiczebnego „Stork” przygotowali ze względu na nadchodzące święta tradycyjny „Xmas Pudding”.

W PRACOWNI ZABAWEK.

Przed nadchodzącymi Świętami wykańcza się na gwałt zabawki na podarki gwiazdkowe.

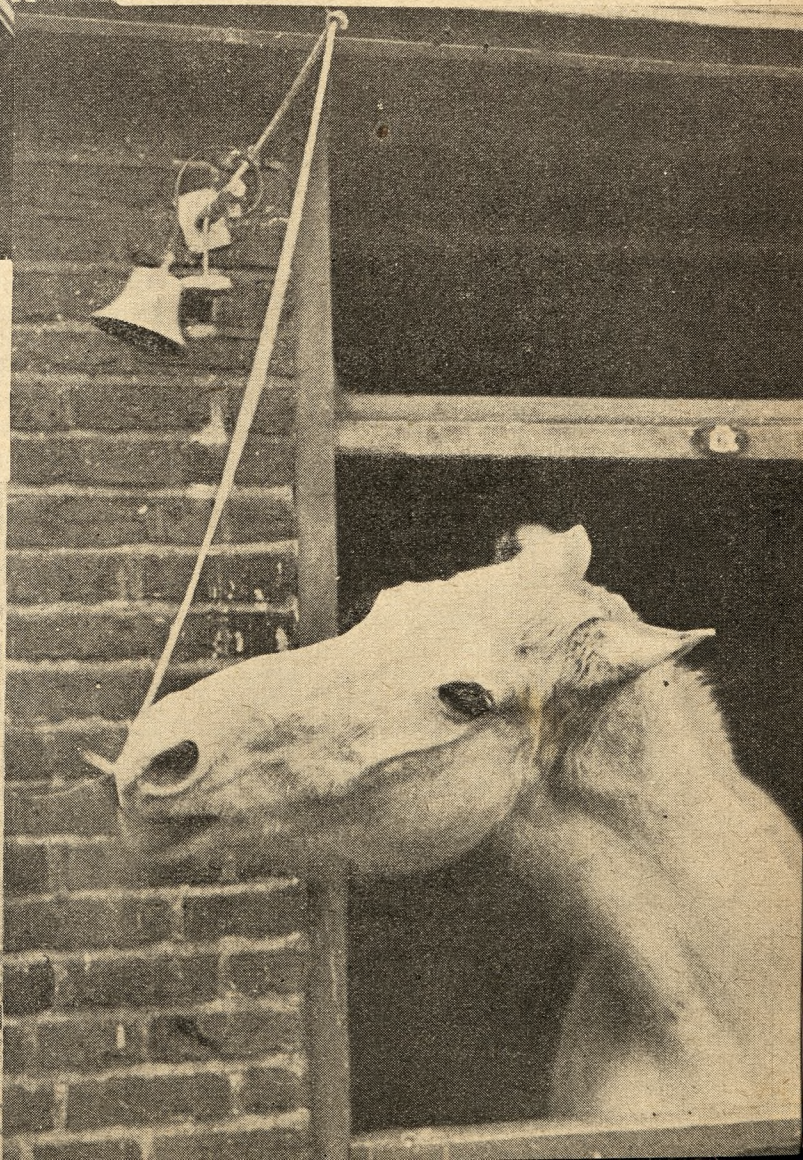


OBIAD NOWOROCZNY DLA KONI.

W Schronisku dla niedołączonych koni w Criklewood (Londyn) istnieje zwyczaj częstowania pensjonariuszy specjalnie wyszukany posiłkiem w dzień Nowego Roku, „Grey Boy” — stary zasłużony na wojnie koń dzwoni poprzez żaluzję stajni, upominając się o swój noworoczny obiad.

W PRZEDDZIEŃ WILJI.

Okres poprzedzający święta jest okresem „dobrych interesów” dla sprzedawców choinek.



Przegląd Prasy

W *Expresie Porannym* z dnia 9 grudnia r. b. ukazał się reportaż p. t. „Na ulicę...”

W artykule tym autorka zwraca uwagę społeczeństwa na żebraków-inteligentów, żebraków z przypadku, z najcięższego musu: gdyż inni żebracy zawodowi i włóczęgi od czasu walki policji z plagą żebractwa i włóczęgostwa, znikli już z ulic stolicy.

Oto kilka scen ilustrujących nędzę i upodlenia t. zw. „zebraków w masce”:

Na ulicy Czerwonego Krzyża podchodzi do mnie wysoka pani w żałobie, która przed chwilą szła mi naprzeciw wolnym krokiem. Staje nieśmiało i półgłosem jąka:

— Przepraszam panią...

Zatrzymuję się. Pewnie nie może znaleźć czyjegoś adresu. Może nietutejsza...

— Proszę panią... o parę groszy na chleb.

Teraz dopiero, rzuciwszy uważne spojrzenie widzi się, że pani ma na sobie cieniutkie letnie paletko, ładnie skrojone, ale pomięte i wypelzłe; że futrzany kołnierzyk wokół jej szyi jest wytarty aż do świecącej skóry; że na nogach ma letnie płócienne pantofle zafarbowane na jakąś czarną niebieskość, widać atramentem; że żałobny welon zwisa na ramiona obmokłą w dżdżu jesiennym szmatą. W żółtawej obciągniętej suchą skórą twarzy błyszczą niepewnością i wstydem łzawe oczy.

Pierwszy odruch, to jakby opędzanie się przed natrętną muchą. Odwraca się oczy i idzie dalej. Nie chodzi tu o te parę groszy. Ale jest przecież zimno, człowiekowi się śpieszy, trzeba by biedzić się nad odnalezieniem portmonetki... Zresztą tego rodzaju niespodzianka nie trafia się po raz pierwszy.

Odchodzi się więc. Ale po dwóch krokach coś skłania, by zatrzymać się i wrócić. Równocześnie czuje się, że kilka czy kilkadziesiąt groszy nie załatwi tu sprawy, że trzeba by pomóc inaczej. I ciekawość ze współzuciem pomieszana: Co skłoniło tę kobietę, która ma najwyraźniej lepszą przeszłość za sobą, żeby aż wyszła na ulicę wyciągnąć rękę?

— Niech pani kiedyś przyjdzie do mnie. Możeby się dało coś dla pani zrobić. Bywam w domu o piątej.

— Mój Boże! Gdybyż to było możliwe... — wybucha krztusząc się niemal własnymi słowami nieznajoma.

Przyszła już tegoż samego dnia. Zaśniewana i nieśmiała, ale zachowująca się ze swobodą osoby, która umie obracać się w towarzystwie. Tylko nogi w obmokłych buciarach starannie zasunęła pod krzesło.

Bez płaczu, koloryzowania i afektacji opowiedziała swoją historję. Jest krawcową. Nienajlepszą zapewne, ale jakoś żyła. Z trudem, bo choruje na śpiączkę, z której nie może się wyleczyć. Mieszka na Dobrej. Ale ostatnio spadła jej na kark siostra, wdowa, była nauczycielka z trojgiem dzieci. Po operacji brzusznej leży ta

siostra od paru tygodni w łóżku. Dzieciom trzeba dać jeść, dostarczyć na zimę obuwia i jakiegokolwiek odzienia aby mogły pójść do szkoły. A tu właśnie klientki odrzucone chorobą krawcowej, nie dopisały.

No, i tak właśnie trzeba było wyjść na ulicę. Zarobi około półtora złotego dziennie, blakając się dla niepoznaki codziennie w innej dzielnicy masta. Ale poza wstydem gnębi ją strach, aby nie przychwycił jej pewnego dnia policjant. O tem, co by się stało wówczas z siostrą i małemi, nie ma odwagi pomyśleć...

Tu już nie wytrzymała, — chwycił ją płacz. Gdy się uspokoiła, podała parę adresów i telefonów swoich klientek, prosząc, aby zadzwonić, przekonać się, sprawdzić, że ona nie kłamie, że naprawdę umie pracować.

Blagała czyby nie udało się znaleźć dla niej jakąś choćby drobną, najtańszą krawiecką robotę. Zabrała skwapliwie trochę chleba i żywności, jaka się w domu znalazła. Widać było, że mówi prawdę i że naprawdę jest głodna.

W piśmie „Le monde illustré” ukazał się artykuł Genève Bardot p. t. „Le service des femmes en Pologne” (służba wojskowa kobiet w Polsce), w którym autorka skreśliwszy krótko tradycje wojskowe Polek w wojnie, w walce o niepodległość pisze o służbie pomocniczej kobiet w armji w charakterze krawcowych, urzędniczek, biurowych, i t. p.

GŁOSY W SPRAWIE REDUKCYJ W SZKOLNICTWIE.

Usuwanie żon nauczycieli szkół powszechnych z posad, wywołało wiele rozgoryczenia i słusznych zarzutów. „Il. Kurjer Codz.” umieścił na swych łamach listy nauczycielskie, które wymownie charakteryzują położenie materialne nauczycielstwa szkół powszechnych.

I tak np. p. O. Ch. pisze:

„Istnieją wyżsi funkcjonariusze cywilni i wojskowi, którzy mają morgi na Kresach i posady nie za 150 — 160 zł., ale za 800 — 1000 zł. I ci żenią się z nauczycielkami.

A cóż społeczeństwo chce od żon tych ubogich nauczycieli, harujących po wsiach? Pracuje ich dwoje ludzi, inteligentnych, którzy dostają razem 288 zł., a choćby potem 400 zł. (trzeba dzieci wykształcić).

Podobnie „Nauczycielka” z Koszyc:

„Małżeństwa nauczycielskie, które pracują już dziesięć lat i więcej, cofnięte zostały nową ustawą uposażeniową do X-ki. Pobierają po wszystkich potrąceniach mniej niż 300 zł. razem. Kogóż może razić ta kumulacja tych dwóch głodowych pensyj? Mąż i żona, oboje pracujący w szkole — to najczystszy ideowo element wychowawczy.

Naturalnie bezrobotni nauczyciele pragną pracy, ale dlaczego państwo produkuje wciąż kadry nowych nędzarzy, gdy im nie może zapewnić bytu? Dajcie im posady, ale wołajcie o redukcję nauczycielek żon lekarzy, aptekarzy, przemysłowców, inżynierów, radców, oficerów, wizytatorów! A dlaczego dzięki protekcji dostają posady młode siły nauczycielskie i to takie, których rodzice są tak bogaci, że mogą im zapewnić byt?

P. A. N. z pod Hrubieszowa pisze:

„Cóż zawiniła żona nauczyciela, że pracuje wraz z mężem nauczycielem? To bardzo sumienna siła nauczycielska. Gdyby nawet obowiązki domowe wymagały jej obecności, to jednak zawsze i przede wszystkim wybierze ona szkołę. Kobieta ma przecież poza pragnieniem ciepła i miłości swój własny świat myśli i pragnień i nie można żądać od niej tak wielkiej rezygnacji ze świata i udziału w życiu. Współczesność dopuściła kobietę do źródeł wiedzy i powinna pozwolić kobiecie na eksploatację jej zdolności.

Autorka listu, która podpisała się znamienne: „Jedna z wielu, która ma nieszczęście być nauczycielką-mężatką”, żali się:

„Czy społeczeństwo wie, jak żyją rodziny nauczycieli? Czy wie, że nauczycielki borykały się z losem bardzo ciężko, straciły zdrowie, dostały gruźlicy, że nie mogą związać końca z końcem, żyją w ustawicznych długach? Czy społeczeństwo wie, że mąż przyniesie do domu mało co ponad 100 zł. miesięcznie i każe żonę za to utrzymać rodzinę! Więc cóż dziwnego, że samotna nauczycielka i kawaler nauczyciel pobierają się, aby jakoś umożliwić vegetację rodziny?

TROCHE HUMORU.

W *Expresie Porannym* w dziale „Co w trawie piszczy” czytamy:

Młoda hrabianka zakochała się w młodym, przystojnym szoferze swego ojca i postanowiła się z nim pobrać.

Stary hrabia jest oburzony.

— C'est horrible! Phosty szofeh moim zięciem!

Nie pomagają tłumaczenia i perswazje, hrabianka obstaje uporeczywie przy swej decyzji.

Po wyczerpaniu wszystkich argumentów hrabia woła ze zgorszeniem:

— Ach, i poto twoja phababka była methesą khóla Stasia!... Co za czasy! Co za czasy!...

DOBRY ŻART.

Malarz Z. jest bardzo roztargniony. Któregoś dnia jeden z kolegów, widząc że już wychodzi z kawiarni, prosił go o wrzucenie pilnego listu do skrzynki.

— Dobrze, wrzucę! powiedział Z., chowając list do kieszeni.

— Tylko pamiętaj — ostrzegł go kolega — że to nie jest „poche - restante”!

Bruno Winawer w „Kurjerze Porannym”, p. tytułem „Boczna antena”, między innymi aktualjami wiedzy, przytacza następujące fakty:

Rzecz ciekawa — w latach ostatnich nawet inżynierowie organizują niekiedy zwycięskie najazdy na daleką dziedzinę terapii i de Kruif opisuje, jak to radjotechnik, inżynier Willis R. Whitney wynalazł... gorączkę techniczną. Spostrzegł, że on i jego współpracownicy na stacji doświadczalnej w Schenectady mają wyraźnie podwyższoną temperaturę, mocną febrę, kiedy pracują przy nadawczym aparacie krótkofalowym. Ale gorączka, febra jest zbawieniem w niektórych chorobach — zwłaszcza, jeżeli jej trwanie i siłę można dowolnie regulować. Zabrano się w Ameryce do pracy.

Dziś już z najrozmaitszych stron świata, ze szpitali londyńskich, nowojorskich nadchodzą wiadomości pomyślne. Fale ultrakrótkie zastępują chirurga! — telegrafują dziennikarze. Podobno drganiem elektrycznym można ugotować na twardo żółtko w jajku kurzem, a białko pozostaje płynne, można leczyć falami wrzody w dziąsłach, reumatyzm, astmę, usunąć zapalenie szpiku kostnego bez operacji. „Można zabić błąd strach energią elektryczną” — powiada obrazowo de Kruif.

Przykra ongiś „kuchnia łaćska” traci również nieprzyjemny zapaszek apteczny. Jeden z redaktorów bardzo poczytnego pisma codziennego dostał się niedawno przed oblicze samego sira Fryderyka Hopkinsa, odkrywcy witamin, laureata nagrody Nobla. Nie marzymy jak powieściopisarze — powiedział w wywiadzie wielki uczony — o tem, żeby świat zaludnić olbrzymami, ludźmi pod sufit, ale... Już teraz umiemy fabrykować w laboratorjach witaminę D i możemy uzdrowić miliony dzieci, znieść rachityzm z oblicza ziemi. Ignorancja pokoleń minionych w sprawach odżywiania była wprost tragiczna. Jesteśmy na tropie witamin B₁, B₂, C, E, możemy niektóre choroby usunąć zupełnie, całą ludzkość — jeżeli ktoś taką terminologję woli — przenieść z ostatniej kategorii C₃ do kategorii A₁. Możemy stworzyć lepszą rasę, zaopatrzyć pokolenia przyszłe w tętsze ubiegięcie, wzmocnić samoobronę organizmu (witamina A, którą również produkują już pracownie naukowe).

W artykule „Przyczyny demoralizacji wśród młodzieży”, drukowanych w I. K. C. z dnia 24 listopada r. b. między innymi podany jest wyjątek listu jednego z czytelników do redakcji, w którym poruszona jest sprawa klubów młodzieży.

List ten, jak wiele innych otrzymała redakcja I. K. C. po zamieszczeniu artykułu omawiającego sprawę demoralizacji wśród młodzieży:

„W krajach anglosaskich — pisze autor — kwestja tych wolnych godzin rozwiązana jest przez bujne życie klubowe. U nas również koniecznem jest istnienie takich ośrodków, w których młodzież

znalazłaby okazję zaspokojenia swoich potrzeb towarzyskich, ale w sensie dodatnim i pod pewną kontrolą. Ośrodek taki musi być wszechstronnie wyposażony i prowadzony tak, aby młodzież zbierała się tam samorzutnie i z przyjemnością. Gdyby mi przyszło wskazać takie ośrodki np. w Krakowie, to wymienilibym bez wahania Bursę ks. Kuznowicza i polską YMCE. Te instytucje zajmują się jednak tylko chłopcami. Trzeba by więc pomyśleć także o podobnej instytucji dla dziewcząt”.

„Ilustrowany Kurjer Codzienny” zamieszcza barwny i dowcipny feljeton Stan. Jorke p. t. „Wybrać, przebrać, zabrać”, z którego dajemy dłuższy wyjątek:

Morze kramów i tandety, płócienne miasteczko na jeden dzień wyrosłe, tygodniowe święto chłopskie: prowincjonalny targ.

By ktoś nie posądził prowincji, że nie idzie z prądem czasu, to może tu ujrzeć amerykański kram. Za stołem stoi młody człowiek i przeprowadza „żywą reklamę”, wykrzykując:

— Amerykańska reklama, Warszawa, Praga, wybrać, przebrać, zabrać, byle tylko nie ukraść, i nie „pobabrać”, od końca do końca, po trzydzieści pięć groszy. Wolny wybór, stałe ceny, co się komu podoba, co leży, co wisi, czy to duże, czy to małe, czy czarne, czy białe, po 35 groszy! Noże, szczotki, grzebienie, lusterka szlifowane zamiast złoty, zamiast 70 groszy, tylko 35!

Przy innym kramie, gdzie można kupić cynę do lutowania „na zimno”, klej do szkła i „pastę do brzytwy”, sprzedający udaje cudzoziemca:

— Więc szanowne państwo dobrze się zainteresować, w jaki sposób kleimy po 15 groszy, szanowni „golacze” w jaki sposób tępiemy nasze brzytwy, cały tydzień rąbiemy buik, graby i niedobre baby (autentyczne!), a w sobotę ostrzemy naszym murkiem.

W dziale starzyzny tłok kolosalny, można kupić wszystko i maszynę ręczną „co szyje jak perła i może być na nogę” za 35 zł., cybuszki do fajki, antyki, kulawe kanapy, stare ubrania i t. d. — a wszystko to przy przerzucaniu wydziela tumany kurzu i zarazków

Dominiują buty małe, duże, stare, ironicznie się śmiejąc wykrzywionymi kształtami — w cenie od półtora do 15 złotych. Targ się zaczyna:

— Panie, co za to?

— Dwa złote.

— Ale czy niema w obcasie papiru, bom kiejki kupiła, to się obcas w zad cofnął.

— Nie gadajcie głupstw, te buty z bawoła, a bawół nie pęka.

Baba siada zamiast na krzeselku na kraju chodnika, odwija szmatę z nogi i poważnie próbuje „but z bawoła, co nie pęka”.

Gdy tak okiem błędę po mrowisku ludzkim, nagle podskoczyło serce moje z radości: patrzę — na ziemi leży „literatura”. Kupuję „za jedne 20 groszy” „poezję” w rodzaju takich, jak „Prawdziwe zdarze-

Zapisy

na Kursy Racjonalnej Kosmetyki

Dr J. ŚWITALSKIEJ

rozpoczęte

Informacje Warszawa, Aleja Ujazdowskie 37,
tel. 8-92-77

nie o dziewczynie, która została przez swego narzeczonego na drzewie powieszona w powiecie wadowickim...”

Początek tej przejmującej ballady brzmi:

„Dziś oczy smutne patrzą przez kraty,
a serce szuka wolności,
zapóźno marzę za ideałem —
jam tu zamknięty przed światem całem.
Bom ze żalością szumiał w oddali,
a noc ta straszną się stała,
zaraz mnie trwoiga opanowała,
kiedyś na drzewie strasznie wisiała
a ludność ciebie ujrzała”.

Jest i drugie „prawdziwe zdarzenie” w w Radgoniu o sześćioletnim dziecku, które zostało żywcem spalone przez własną matkę (szkoda, że to nie przytrafiło się autorowi tego wiersza!):

„W drugi dzień z rana tuż przed świtem

przychodzi roujek tak z narzekaniem
pyta się siostry: Coś ty zrobiła
żeś to powietrze tak ocuchnęła?”.

Ale są także „wiersze”... sentymentalne, jak np. „Pieśń o sierotce narzekającej”:

„Dokąd ty idziesz dziecino moja —
Tak się zapytał staruszek —
Ona se oczka ze łzów ociera
mokry już miała fartuszek...”.

Wogóle bardzo mokra była ta sierotka:

„A kiedy słońce stało raniutko
Zaglądało w okno dziewczynki,
Ona z radością zaraz rwała,
by podlać swoje roślinki. —

Niedawna tragedia powodzi również wywarła wpływ na tę rynkową „poezję”. Oto pieśń: „Cud Matki Boskiej kalwaryjskiej o teraźniejszym czasie i strasnej powodzi”:

„O, niejedna rodzina zalewa się łzami
Tak Bóg ukarał ludzi przez roylanie
wody,

za siódme przykazanie i piąte gwałcone
Jak syn ojca mordował, a mąż swoją
żonę.

Płynie matka z dziećmi w dunajcovej
fali

kto widział te ofiary aż się serce żali,
Tam na drzewie młodzieniec siedzi po-
siniaty

bo 3 dni opuścił swój dom ukochany...”

Z takiej poezji można nietylko „posinięć” ale i posiwieć przedwcześnie.

Ogrodnictwo i hodowla

Zwiększajmy hodowlę kóz

Pod względem jedzenia jesteśmy najbardziej konserwatywnym narodem pod słońcem. Nie jadamy prawie nowych jarzyn, których wspaniałe gatunki przynoszą co roku nowe katalogi ogrodnicze. Nie jadamy potraw z królików, bo: „mamy do tego wstręt”. Nie pijemy mleka koziego, „bo ono dziwnie pachnie” itd. Wogóle nasza kuchnia, mimo, że smaczna, ale jest niesłychanie mało urozmaicona i zbyt intensywna. A co najdziwniejsze, o tem, że to jest dobre, a tamto nie, rozprawiają najczęściej ludzie, którzy danej potrawy, za nicby nie skosztowali, bo: „się brzydzą”.

Zaniedbanie, np. hodowli kóz, jest wielkim błędem gospodarczym. Dziś, w okresie kryzysu, gdyby nie było tego bezpodstawnego uprzedzenia do kozy, mogłaby ona być wielką pomocą w odżywianiu szerokich mas dzieci, którym grozi, skutkiem niedostatecznego odżywiania cherlactwo na całe życie.

Mleko od kozy rasowej, dobrze odżywionej i czysto utrzymanej, nie ma absolutnie żadnego nie milego zapachu i od mleka krowiego różni się tylko tem, że jest pożywniejsze, strawniejsze, odpowiedniejsze dla niemowląt i że może być spożywane na surowo, bo kozy przeżywają na gruźlicę nie chorują.

Licha krowa, a takich mamy w kraju lwia część, daje przeciętnie nie więcej niż 600 — 1000 litrów mleka.

Średnia koza daje 600—700 litrów, a dobra nawet do tysiąca.

Dalej, należy sobie uświadomić jasno, że 8 kóz spostrzebuje tyle paszy, co jedna krowa. Oprócz tego, wyjątkowo tylko, krowa skonsumuje takie różne odpadki kuchenne, jak koza, gdyż jest ona o wiele mniej wybredna.

Jeśli do tego dodać, że koza zadawała się komórką na stajenkę i potrzebuje niewiele ściółki, to trzeba sobie jasno zdać sprawę, że koza jest naprawdę bezkonkurencyjną dostarczycielką mleka, dla małych miasteczek i okolic przemysłowych.

Wartość mleka koziego przedstawia się następująco: Ciężar gatunkowy — 1,0338; tłuszczu 5,99% przeciętnie, a najmniejsza zawartość tłuszczu, notowana w mleku kozim, wynosiła 3,9%; suchej, beztłuszczowej masy ma mleko kozie 10,97%; cukru 4,93 — 5,1%, surowego białka 4,63%.

Wartość mleka krowiego przedstawia się następująco: ciężar ga-

tunkowy: 1,028 — 1,034%; tłuszczu 2,7 — 4%; suchej masy 7—10%; surowego białka 3,5%; cukru 4,5%.

Widzimy z powyższego, jaką wartość odżywczą przedstawia mleko kozie, wolne od zarazków gruźlicy, co daje możność spożywania go w stanie surowym. Koza przedstawia zatem dla ludności wielkomiejskiej i okolic przemysłowych, wprost dobrodziejstwo.

Uświadomić sobie trzeba np., że przy zastosowaniu wysokiej temperatury przy pasteuryzacji ponad 600 już witaminy mleka giną, a razem z tym zmienia się naturalny skład mleka, który jest tak ważny w odżywianiu się ludzi.

Wartość kozy, jako zwierzęcia mlekodajnego, jest u nas zupełnie niedoceniana. Hodowla kóz u nas właściwie nie istnieje, a chowem jej zajmują się nieliczni wyrobnicy, w ośrodkach przemysłowych.

Oprócz mleka, niesie koza i inne pożytki. Mięso kozie, szczególnie ze sztuk młodych, jest smaczne, pożywne i daje się w różnoraki sposób przyrządzić.

Dużą wartość przedstawia również i skóra kóz, poszukiwana w przemyśle białoskórnym, do wyrobu rękawiczek, oraz łój, poszukiwany dla celów leczniczych.

Dalej daje nam koza przeciętnie cały wóz *cennego narwozu*, który doskonale nadaje się do ogrodów.

Według wyliczeń fachowców, utrzymanie kozy kosztuje około 90 zł. Kwota ta może ulec wydatnej obniżce, jeśli zauważymy, że przeciętne gospodarstwo z 4 osób, może na odpadkach kozę wykarmić i, że wtedy zachodzi potrzeba dokupienia tylko paszy treściwej.

Jeśli policzymy, że od kozy otrzymamy tylko 700 litrów mleka, to koszt produkcji jednego litra wyniesie 13 gr., zamiast przeciętnej ceny 25 gr., jakie za litr krowiego mleka w mieście się płaci.

Mleko kóz, dobrze utrzymanych, jest całkowicie bezwonne i w smaku nie ustępuje krowiemu.

Oprócz kóz, wyłącznie na produkcję mleka, hodują się kozy *angorskie na welnę*. Ostatnio Amerykanie wyhodowali doskonałą rasę, typ kombinowany mleczno - welnisty. Warto by i u nas na tę rasę zwrócić uwagę.

Utrzymanie kozy, dzięki temu, że należy ona do stworzeń dosłownie wszystkożernych, przy odpadkach domowych i odrobinie paszy treściwej, nie przedstawia żadnych trudności.

Marja Dąbrowa.

Clivia i Calla

Ongiś te dwie rośliny były często hodowane, obecnie trochę o nich zapomniano, a szkoda bo zasługują na „poparcie”.

Do idealnych wprost roślin pokojowych, należy Strzeluń, jest to roślina, jakby specjalnie stworzona, do nienormalnych warunków bytu w niewoli człowieka. Kliwja nie wymaga wiele światła, można ją więc ustawiać, nawet dalej od okna. W jasnych pokojach rośnie doskonale, ustawiona w głębi, na osobnych stolikach, czy postumentach.

Zarówno zwykła temperatura pokojowa, która dla większości kwiatów jest zbyt wysoka, jak i suche powietrze naszych mieszkań, nie kliwji nie szkodzą, przeciwnie, sprzyjają jej rozwojowi.

Ojczyzną kliwji jest Południowa Afryka.

Jest to wspaniała roślina pokojowa, z którą pod względem dekoracyjności, mało która inna może rywalizować.

Posiada ona pień krótki, ukryty w ziemi, lub nieco tylko z niej wystający. Pięknie ułożone, mieczowate, około 4 ctm. szerokie liście, stanowią już same przez się cenną ozdobę mieszkania. Są one barwy ciemno zielonej, lśniące, u osobników starszych przekraczają nieraz metr długości.

Jeszcze ozdobięjszą staje się jednak ta roślina, gdy zakwitnie. Starsze egzemplarze kwitną pilnie co roku. Kwiaty kliwji odznaczają się silną, a przedziwnie subtelną wonią. Ukazują się późną zimą, lub wczesną wiosną, a niektóre odmiany, przy starannej pielęgnacji, kwitną powtórnie jesienią.

Kwiaty mają kształt lejkowatego kielicha; ułożone są po kilka, lub kilkanaście w baldach, osadzone nad grubym, wysoko ponad liście, wystającym ogonkiem. Są one różnej barwy: białe, różowe, karminowo - czerwone, pomarańczowo czerwone i t. d. Łodyga kwiatowa ma zwykle 40 — 50 ctm. wysokości. Pęczki kwiatowe rozwijają się stopniowo. Stąd kwitnienie rozciąga się na parę tygodni.

Przy odrobinie starania, można dochować się ślicznych, czerwonych owoców, które roślinę bardzo zdobią. Trzeba delikatnym pędzelkiem poprzemnieść pyłek z jednego kwiatu na drugi, przez co zapylamy je sztucznie, wynikiem tego, są piękne i wielkie owoce, które trwają bardzo długo i ładnie wyglądają.

Przy hodowli kliwji bardzo ważny jest okres spoczynku rośliny,

bez uwzględnienia którego, roślina słabo kwitnie, licho rośnie i wogóle wyczerpuje się bardzo.

Okres spoczynku następuje w końcu lata i zaznacza się zahamowaniem we wzroście. Podleamy ją wtedy bardzo skąpo i staramy się o temperaturę możliwie niską, ale w okresie tym kliwje potrzebują, stosunkowo dużo światła.

Mimo, iż kliwja dość silnie wyczerpuje ziemię, nie lubi zbyt częste przesadzanie, dlatego też trzeba ją koniecznie zasilać w okresie wzrostu i często zmieniać górną warstwę ziemi.

Normalnie rosnące kliwje, przesadza się dopiero, gdy korzenie całkowicie doniczkę wypełnią i wystąpią w niej na powierzchni w takiej ilości, że podlewanie staje się utrudnione, lub też, gdy napór korzeni rozsądzi doniczkę. Jak długo tych objawów, lub też choroby rośliny nie zauważymy, należy unikać przesadzania, gdyż zwykle świeżo przesadzone rośliny nie kwitną tak długo, jak długo korzenie nie osiągną ścian nowej doniczki.

Najodpowiedniejszym miesiącem do przesadzania tej rośliny, jest sierpień. Przesadzać należy ostrożnie, aby możliwie jak najmniej naruszyć korzenie.

Unikamy oczywiście zarówno kaleczenia ich, jak i cięcia, pamiętać należy, iż rany na korzeniach goi kliwja bardzo ciężko i że pokaleczone, bardzo łatwo gniją, co pociąga za sobą zatrutą rośliny, lub w najlepszym razie, przewlekłą chorobę.

Ziemię dajemy darniową i liściową w równych częściach, z dodatkiem gruboziarnistego piasku. Dreny dajemy duże.

Starsze kliwje wydają obficie odrosty korzeniowe, które odejmujemy przy przesadzaniu, sadzimy do niewielkich doniczek i traktujemy, jako dorosłe rośliny. Można również mnożyć kliwje z nasion, nawet tych, które otrzymamy w pokoju.

Wadą tego sposobu jest to, że trzeba czekać dobrych kilka lat, nim zaczną normalnie kwitnąć.

Czermień należał do ulubionych kwiatów naszych babek i przed laty, można go było spotkać w każdym prawie domu. Dziś, wyszedł niejako z mody, spotyka się go bardzo rzadko i to prawie wyłącznie w oknach małych prowincjonalnych miasteczek, t. zw. „zapadłych dziur”.

Przyznać trzeba, że moda wyrzuciła Callom wielką niesprawiedliwość, bo one, przez lata współżycia z człowiekiem, tak się do niego przystosowały, że nie sprawiały mu wiele kłopotu. Za opiekę zaś umiały się wywdziżyć bujnym

rozrostem i wspaniałymi, niesłychanie dekoracyjnymi kwiatami.

Do wielkich zalet czermienia zaliczyć należy fakt, że roślina ta dziwnie harmonizuje z każdym prawie typem mieszkania.

Czuje się ona u siebie, stojąc na pękającym, jaskrawo pomalowanym stoliku nowoczesnym. Tuszuje szpetotę aksamitów wytłaczanych na rzeźbionych meblach okresu przedwojennego i harmonizuje ze starymi sekretarzami.

Jednym słowem, nieoceniona i niedoceniona roślina, która zasługuje na to w pełni, aby jej przywrócić dawne wysokie miejsce w hierarchii roślin pokojowych.

Czermień, - Calla, zwany zwykle Kallą, jest to okazała roślina, pochodząca z Afryki Południowej. Należy ona do rodziny Aroideae—Obrazkowatych.

Posiada mięsiste kłącza ukryte w ziemi, z których bezpośrednio wyrastają okazałe, strzałkowate liście. Są one mięsiste, jędrne o intensywnej zielonej barwie, osadzone na długich prostych ogonkach. Zwykle mają długość 60 — 75 cm.

Kwiaty drobne, niepozorne, ale zebrane w gromadę i otoczone białą pochwą, mającą kształt buławy. Są one osadzone na szypułce, znacznie wyrastającej ponad liście. Tak, że kwitnąca roślina ma zwykle najmniej 1 m. wysokości.

Przy należytej pielęgnacji, kalje kwitną co roku.

Pamiętać należy, iż roślina ta do dobrego rozwoju musi mieć okres spoczynku, niczym nie zakłócony i, że zimować musi w miejscu suchym i możliwie chłodnym. Rośliny, które nie wypoczęły należyście, kwitną licho i wogóle słabo się rozwijają. W czasie spoczynku, podleamy bardzo skąpo, ale zawsze wystawiając wodą, podlewanie zimną wodą prosto z kranu, źle działa na roślinę.

Żółknięcie liści kalji w zimie, jest objawem zupełnie normalnym, umierające liście należy starannie obcinać, tuż przy samej ziemi.

Gdy w miarę zbliżającej się wiosny, zauważymy u czermienia pierwsze objawy budzącego się życia, należy go natychmiast przesadzić w dość duże doniczki.

Najodpowiedniejszą ziemią będzie tu następująca mieszanka:

2 części ziemi liściowej,

1 „ „ gnojowej

1 „ „ wrzosowej,

1 „ „ darniowej,

1 „ gruboziarnistego piasku.

Dreny muszą być obfite, bo choć kalja w okresie wzrostu potrzebuje dużo wody, to jednak nie znosi

wody stojącej. Przy przesadzaniu, wycina się zeschnięte przeszłoroczne korzenie, czyniąc to możliwie ostrożnie, jak najostrzejszym nożem. Idzie o to, aby nie naruszyć ukazujących się już młodych korzonków, których stratę roślina odczułaby boleśnie.

Kłącza umieszcza się w nowej doniczce tak, aby były doskonale przykryte ziemią i żeby między nimi, a ścianami doniczki, zmieściło się ziemi, przynajmniej na dwa palce grubo. Ziemię ugniatamy niezbyt twardo. Podlewanie w czasie wzrostu musi być bardzo obfite, t. zn. takie, aby ziemia ani na chwilę nie wyschła.

W miarę zbliżania się jesieni, dawki wody stopniowo zmniejszamy.

Kalla należy do tych, niewielu zresztą roślin pokojowych, które latem czują się doskonale w mieszkaniu. Oczywiście potrzebują dużo powietrza, to też wymagają częstego wietrzenia. Latem należy je chronić od bezpośrednich promieni słonecznych.

Wielkim wrogiem czermieni są mszycy. Napastują one te rośliny, szczególnie zimą. Tępić je też należy wszelkimi możliwymi sposobami i stale baczyć, aby się zbyt nie rozmnożyły, bo w krótkim czasie potrafią zniszczyć wspaniałe egzemplarze, owoc kilkoletniej hodowli.

Dażeniem hodowcy powinno być możliwie najwcześniejsze otrzymanie kwiatów. Wiąże się to jednak ściśle z okresem spoczynku, który powinien być możliwie przyspieszony, t. zn. tak, aby roślina w końcu stycznia, lub na początku lutego już się budziła do życia.

W szklarniach rozmnaża się Kalle głównie z siewu. W warunkach pokojowych jest to prawie niemożliwe, ale znów łatwo się uskutecznia przez dzielenie kłączy, którego dokonujemy przy wiosennym przesadzaniu. Kłącza należy rozrywać, a nie przecinać. Wszelkie rany natychmiast obsuszać, przez zasypywanie węglem drzewnym, bardzo mało potłuczonym.

Istnieje kilka odmian Kalli, odznaczających się, bądź to zwężłym wzrostem, nana compacta, bądź barwą pochwy kwiatowej, która bywa czasem lekko różowa i t. d.

Śliczną odmianą jest czermień plamisty, Richardia alba Maculata Hook. Kwiaty ma co prawda trochę mniejsze, liście jednak, śliczne w rysunku, bo wybitnie strzałkowate, pokryte są licznymi białymi plamami. Plamki są dość duże, ze srebrnym odcieniem.

Marja Dąbrowa.

Dom i gospodarstwo

ŚWIĘTUJEMY

Specjalny nastrój, swoiste „na-stawienie” świąteczne, którym przesiąka atmosfera każdego domu w okresie Bożego Narodzenia, wkładają na barki pani domu obowiązki, przekraczające zwykły zakres administracyjny.

Nie chodzi już tutaj jedynie o sprawne działanie organizmu domowego i towarzyskiego. Chociaż uproszczona forma naszego dzisiejszego bytowania odsuwa wszystko, co poniekąd komplikuje życie, należałoby zerwać z tym systemem chociaż parę razy do roku, kiedy jakieś „większe” święta, rocznice, uroczystości rodzinne każą pamiętać „jak to kiedyś było”.

Było inaczej, to prawda.

Dostatnio, beztrosko! Dlatego też, która z nas przeżywała, lub organizowała Gwiazdkę, ujętą w ramy właściwe dostatkowi, stoi dzisiaj bezradna i zniechęcona u progu tygodnia świątecznego.

Ale na wszystko jest rada. Tutaj będzie nią umiejętne podejście do świątecznego zagadnienia. Nie stawiamy go na platformie porównawczej, nie żądamy, aby dociągało do nieosiągalnego już dzisiaj poziomu, a stwórzmy mu ramy nowe, skromne, ale pełne uroku.

Jak to osiągnąć?

Prostu, kładąc w świąteczną imprezę taką sumę starania, która byłaby równoważnikiem niedociągnięć materialnych.

W chwili obecnej wszystkie niemal zasadnicze przygotowania są już poza nami. Jesteśmy zaprowadzone. Mamy zestawione jadłospisy, prace kulinarne rozplanowane. Zostaje nam najodpowiedniejsza część zadania, stworzenie nastroju, wyczarowanie świątecznej atmosfery, którą osiągnąć można przede wszystkim *niebagatelizowaniem drobiazgów*.

Te właśnie drobiazgi nadadzą naszym wnętrzom cechę odrębną, cechę świąteczną. Oddajmy im się zatem bez zniechęcenia i wyrzekań na zmęczenie, a z prawdziwą, serdeczną lojalnością.

Jakże inaczej będzie smakowała wigilia, nawet najskromniejsza, przy estetycznie nakrytym stole. Ileż uroku nabiorą podarki, podane w ładnej formie, a nie przekazane poprostu w sklepowym opakowaniu.

Jakież to stosunkowo niewielki trud owinąć maleńki pakiecik w jedwabistą bibułkę, związać wstążeczką, zamiast sznurkiem i podsunąć pod kokardkę gałązkę jemioły, czy świerczyny. A przecież



w takiej oprawie nawet skromna chusteczka do nosa, butelka wody kolońskiej, czy inny nikły drobiazg nabiorą cech świątecznego podarku, w który ofiarodawczyni włożyła serdeczną pamięć o kimś, kogo obdarowywuje.

A stół jadalny, a cały dom niezależnie od tego, czy jest dostatni, czy skromny, jakże zyskają na tem pieściwem podejściu.

Miałymy dawniej na wigilijnym stole żardiniery strojne w pierwsze ciepłarniane konwalje i hiacenty. Jeżeli zastąpimy je dzisiaj gałązkami jemioły, jodły, lub świerczyny, nie trzeba wzdychać i żalić się na „ciężkie”, na inne czasy, a postarać się ułożyć je najefektowniej i wydobyć z tej skromnej dekoracji najwyższą skalę piękną.

Wieczera wigilijna wymaga specjalnego tła. Śnieżno biały obrus z podściółką siana, gałązki igliwia związane wstążkami, wstążeczkami, których końce wiją się na tle obrusa. Trochę anielskich włosów; pośrodku słodczyce, ułożone w niskiej paterze; nakrycie lśniące czystością; wygląd osób zasiadających dokoła stołu strojny, jak na uroczystość przystało.

Sprawy gospodarskie rozwiązane w sposób wykluczający wstrząsy, zgrzyty, zahaczenia. I najważniejsza pointa: pogodny, uśmiechnięty, serdeczny nastrój, który nawet w najcięższych warunkach cuda czyni.

A potem przychodzą dwa dni świąteczne. One znów wymagają specjalnych względów, muszą być zorganizowane tak, aby całemu domowi zapewniły spokój, radość i wytchnienie. Apropozycja pierw-

szego dnia świątecznego, musi być zorganizowana w sposób zachowujący cechy „świąteczne”, nie narzucający ani pani domu, ani jej pomocnicy konieczności spędzenia kilku godzin w kuchni na przyrządzaniu posiłku i sprzątaniu po nim.

Drugi dzień świąt przybiera już charakter nieco mniej uroczysty. Obiad robimy normalny, gorący, o tyle mniej ambarasowny, że zarówno jak i w pierwsze Święto troska o deser odpada. Mamy przecież bakalje (mniej lub więcej kosztowne i skomplikowane), jabłka, orzechy, pierniki i ciasto domowe.

Te tradycyjne słodczyce, uzupełnione filiżanką czarnej kawy, kieliszkiem tak tradycyjnie świątecznego węgryna, albo wreszcie skromną filiżanką herbaty (byłe prawidłowo i starannie zaparzonej) wystarczą całkowicie.

Prawdziwa troska zaczyna się dopiero bezpośrednio po Świętach. Zapasy i pozostałości trzeba zużytkować, w imię oszczędności i dlatego, że sklepy świecą pustką po wigilijnym napadzie.

Tutaj otwiera się pole dla twórczej pomysłowości pani domu. „Resztki” mogą być podstawową doskonałych dań, albo czemś pozabawiającym apetytu najlepiej wyposażonego w apetyt domownika.

Wracamy wreszcie do normalnego trybu życia, ale nie na długo. Wykoleją nas znów (radośnie) Sylwester, dzień Nowego Roku, Trzech Króli. Mają one też swoje wymagania i tradycje. Sylwester, jeżeli go spędzamy w domu powinien być uroczysty. Należy się to zamknięciu starych rachunków i otworzeniu nowego konta.

A Trzy Króle to święto dzieci: rozbieranie choinki; jakiś tort czy ciasto z tradycyjnym migdałem; rozszczebiotany gwarem radosnych głosików podwieczorek, przygotowany z myślą o upodobaniach domowej gromadki i jej gości.

Wszystkie te świąteczne nastroje wymagają od nas dużego nakładu twórczej indywidualności, starania i sprawnego pracy organizacyjnej. Można się i tutaj, jak wszędzie, wyręczyć, ale całość ucierpi, nie będzie doskonałą całością, a tylko zlepkiem poszczególnych godzin dnia i wieczoru, poszczególnych posiłków. A każdej z nas powinno przecież zależeć na stworzeniu zbliżonej do ideału „świątecznej całości”, na którą składa się tyle przeróżnych elementów poziomej i wzniosłej natury!

Wanda Dobrzańska.

Jadłospis świąteczny

SKROMNIE

Wieczera wigilijna.

Barszcz burakowy czysty na grzybowym smaku z uszkami z grzybów.
Sielawki smażone — sałatka z kartofli i jarzyn.
Kapusta wigilijna.
Kompot z suszonych owoców.
Ciasto domowe, herbata.

PIERWSZY DZIEŃ ŚWIAT

Obiad.

Zupa pomidorowa czysta w filiżankach.
Grzaneczki z tartym serem szwajcarskim.
Pieczeń cieleca na zimno.
Sałata z czerwonej kapusty z jabłkami.
Pierniki, strucla, jabłka, orzechy.

DRUGI DZIEŃ ŚWIAT

Obiad.

Zupa neapolitańska z makaronem włoskim.
Zając z buraczkami — purée z kartofli.
Kompot z jabłek i suszonych morelek.

DOSTATNIO

Wieczera wigilijna.

Zupa rybna z łazankami i migdałowa (do wyboru).
Potrawa z ryb z półksiężycami (przepis w Nr. 49 „Bluszczu“).
Koszyczki z groszkiem zielonym.
Sandacz smażony z sałatą.
Kompot wigilijny.
Mak z łamańcami.
Owoce — bakalje.

PIERWSZY DZIEŃ ŚWIAT

Obiad.

Paszтет na gorąco — sos maderowy.
Barszcz w filiżankach.
Jarzynki i jaja w galarecie — sos remoulade.
Indyk z farszem na zimno.
Sałata — kompot.
Bakalje, owoce.
Wino węgierskie — czarna kawa.

DRUGI DZIEŃ ŚWIAT

Obiad.

Zupa pomidorowa czysta.
Ser szwajcarski po parysku, zamiast pasztecików. (Przepis w Nr. 15 „Bluszczu“ r. b.).
Wykwintny mus z pieczarkami (przepis w Nr. 13 „Bluszczu“ r. b.).
Morelki suszone w galarecie z białego wina.

WYKWINTNE

Wieczera wigilijna.

Przekąski:

Sielawki augustowskie marynowane.
Szczipak faszerowany na zimno — sos tatarski.
Karp w galarecie.

Pieczarki duszone na winie w koszykach z kruchego ciasta.
Zupa krem z karasi z groszkiem ptysiowym.
Łosoś z wody z masłem.
Kartofelki z wody drażone, albo dzielone na ćwiartki.
Sandacz pieczony (z pieca) — sałata zielona.
Bukiet z jarzyn — sos mousseline.
Kompoty mieszane.
Tort wigilijny (przepis w Nr. 50 „Bluszczu“ r. b.).
Bakalje.
Wino węgierskie.
Owoce.
Czarna kawa.

PIERWSZY DZIEŃ ŚWIAT

Obiad.

Zupa pieczarkowa w filiżankach.
Diablotki z sera szwajcarskiego (przepis w Nr. 13 „Bluszczu“ r. b.).
Majonez z pozostałego łososa.
Połędwica po angielsku — sos Cabul — kartofelki przysmażane „pommes pailles“.
Kardy w buljonie.
Bazanty.
Sałata zielona — kompot.
Lody pomarańczowe, albo ananasowe (przepis w Nr. „Bluszczu“ r. b.).
Czarna kawa.

DRUGI DZIEŃ ŚWIAT

Obiad.

Barszcz w filiżankach.
Paszteciki szwajcarskie (przepis w Nr. 15 „Bluszczu“ r. b.).
Vol au vent z pozostałego indyka z groszkiem zielonym.
Combry zajęcze — sałata z włoskiej kopyt z jabłkami.
Krem z kasztanami.
Czarna kawa.

PRZEPISY KULINARNE

Owoce m cukrze do bakalji. Pięknie usmażone konfitury z malin, truskawek, agrestu, czereśni, wisien, rajszych jabłuszek, śliwek, nadają się doskonale do bakalji. Trzeba je wybrać z syropu wykalczką, ułożyć na bardzo czystym, do żadnych tłuszczów nieużywanym sitku włosianem, ustawić w cieple, aby owoce nie tylko ociekły z syropu, ale i lekko obeschły. Gdy powierzchnia owoców nie jest już wyraźnie mokra, a zaledwie wilgotna skrajamy każdy owoc w miążskim osiannym cukrze pudrze i powtarzamy ten zabieg w przerwach co kilka godzin dopóki się puder wyraźnie na powierzchni owocu nie zatrzyma.

Owoce obciążane karmelem. Równie cennie uzupełnieniem bakalji są owoce obciążane karmelem. Do tego możemy użyć nie tylko obsuszonych konfitur, ale gronek pomarańcz, mandarynek, datyki i gotowanych kasztanów.

Cała filozofja polega tutaj na przygotowaniu odpowiedniego karmelu. Poza tem obciążając owoce świeże (mandarynki, pomarańcze) musi obrać poszczególne dzwon-



Gwiazdka!

Pieczyno świąteczne
uda się znakomicie na
proszku do pieczenia

Dra Oetkera „Backin”

W moich broszurkach z przepisami
znajdzie Pani wiele cennych wskazówek

Dr. A. Oetker



ka bardzo starannie z białych włókien. uważając aby nie zadrażnić powierzchni. Sok wydobywający się nazewnątrz zwilży karmel i popsuje powierzchnię owocu.

Cukier do obciążania owoców przyrządza się w sposób następujący: pół kg. cukru zalać szklanką wody. Gotować syrop ostro, pod przykryciem obmywając co chwila brzegi rondelka piórkiem maczanym w zimnej wodzie, aby się cukier nie krystalizował. Probuje się czy karmel ma dosyć maczając kawałek drewnianka w syropie i zanurzając go natychmiast w zimnej wodzie. Jeżeli syrop w zimnej wodzie natychmiast stwardnieje i gryzie się chrupko i krucho ma dosyć. Wtedy zdejmujemy go z ognia, maczamy w nim poszczególne owoce i układamy je na blacie marmurowym, albo półmisku porcelanowym cieniusieńko posmarowanym wyborowym masłem deserowym.

Nugat. Proporcja 40 dkg. migdałów słodkich, 40 dkg. orzechów laskowych, 20 dkg. pistacji, 60 dkg. cukru, 40 dkg. miodu pszczonego czystego w najwyższym gatunku. Migdały sparzyć, obrać z wierzchnich skórek, pistacje obrać i tak jak orzechy laskowe pozostawić w całości.

Cukier zalać tylko taką ilością wody jaką w siebie wchłonie, smażyć na karmel (patrz owoce obciążane karmelem). W oddzielnym naczyniu zagotować miód, wlać w niego gotowany karmel i gotować, mieszając bezustannie od spodu przez 3 minuty. Przez ten czas druga osoba powinna ubić sztywną pianę z 12 białek. Pianę trzeba ubijać w dużym, głębokim kamiennym (polewanym) ogniotrwałym naczyniu. Gdy piana ubita, a karmel z miodem przesmażony trzeba postawić naczynie z pianą na gorącej blasze, albo na gazowym płomieniu przykrytym pełną fa-jerką. Lać wrzący miód z karmelem w

pianę i ciągle mieszać od spodu. Całą tę mieszaninę smażymy na wolnym ogniu (mieszać bez przerwy aż do chwili kiedy kawałek masy wrzucony do zimnej wody da się łatwo zagnieść w palcach, nie klejąc się i nie przystając do nich). Po zdjęciu masy z ognia trzeba dodać migdały, orzechy, pistacje wyrobić doskonale i nałożyć na duży opłatek równą grubą na parę centymetrów warstwę. Przykryć drugim opłatkiem, ułożyć na deseczce, przykryć deseczką i przycisnąć czemś co służyłoby za niezbyt ciężką prasę np. książką tej samej wielkości co opłatek. Obciążenie musi być równomiernem. Wystudzony i wyprasowany nugat kraje się ostrym nożem na kawałki równej wielkości.

Nugaty owinięte w papier pergaminowy przechowują się długi czas, jeżeli je ułożymy w pudełku z białej blachy zaopatrzonem w szczelne przykrycie.

Bomby z kasztanów. Ponacinać wierzchnią skórę na kasztanach, obgotować je, oczyścić z łupiny i wierzchniej cienkiej skóreczki, ugotować zupełnie miękko w niewielkiej ilości wody.

Ugotowane kasztany przefasować przez włosiane sitko, dodać tyle osianego cukru pudru ile zaważą kasztany, podgrzewać na ogniu, stale miesząc, przez pół godziny. Wyłożyć na porcelanową salaterczkę, przykryć, postawić w chłodzie.

Na drugi dzień, gdy masa doskonale zastygnie, formować zgrabne kulki, jednakowej wielkości, skraćć w sproszkowanej czekoladzie, albo brać na wykalczkę i maczać w takim samym karmelu, jak do obciążania owoców. Gotowe bomby układać we fryzowanych papierkach.

Daktyle nadziewane. Wybrać piękne daktyle w najwyższym gatunku, rozkroić każdy tylko tyle, żeby pestka dała się wyjąć. Wypełnić daktyle masą migdałową, pistacjową, albo z kasztanów. Masy migdałową i pistacjową robi się, dodając tyle cukru pudru ile zaważą migdały i trochę surowego białka. Farsz kasztanowy przyrządzamy z kasztanów fasowanych przez sito włosiane, dodając cukru pudru i odrobiny gotowanej, słodkiej śmietanki. Tak nadziane daktyle trzeba brać na wykalczkę i zanurzać w takim karmelu, jak do obciążania owoców. Gotowe ułożyć w karbowanych papierkach.

Kasztany w czekoladzie. Proporcja: 1 kg. kasztanów, 80 dkg. sproszkowanej czekolady, 125 dkg. czekolady w tabliczkach, 125 gr. cukru pudru, 20 gr. migdałów słodkich, kieliszek najprzedniejszego rumu.

Obrać kasztany z wierzchniej łupy, zalać wodą bardzo leciutko osoloną, gotować 20 minut pod przykryciem. Po wyjęciu z wody oczyścić z wierzchnich skórek, przefasować przez sito. Przefasowane kasztany wymieszać z cukrem pudrem, sproszkowaną czekoladą i rumem. Formować rękami kulki wielkości kasztanów, każdą kulkę skraćć w czekoladzie tartej na dosyć grubej tarce i wymieszanej z migdałami, które trzeba po oczyszczeniu z łupinek lekko przyrumienić i drobno posiekać.

Krajanka daktylowa do bakalij. Proporcja: 25 dkg. migdałów słodkich, 50 dkg. cukru pudru, białka surowe, daktyle.



Sparzyć, obrać ze skórek, wypłókać i obsuszyć migdały. Zemleć dwukrotnie na młynku, dodać cukier puder i tyle białek surowych, żeby się masa dała swobodnie rozsmarować na opłatku. Do gotowej masy dodać dowolną ilość daktyli krajanych w wążutkie paseczki. Wymieszać. Rozpostrzeć masę na opłatku na dwa palce grubo, ułożyć opłatek na blasze, wsunąć do dobrego ciepłego pieca, żeby krajanka nabrała ziemistego koloru i lekko przeschła. Gdy wystygnie pokrajać w niewielkie kawałki. Podawać razem z bakaljami.

Poncz Sylwestrowy. Proporcja: 1 kg. cukru rąbanego, 4 cytryny, 4 pomarańcze, 2 litry wody, 2 szklanki mocnego araku, butelka esencji ponczowej, mała puszka ananasa osączonego z syropu.

Otrzeć cukier o skórkę z cytryn i pomarańcz, włożyć do rondla, zalać dwoma litrami wody, dodając sok wyciśnięty z cytryn i pomarańcz. Zagotować, precedzić przez gęste sitko. Dodać: arak, esencję ponczową, ananasa, jeszcze raz podgrzać do zagotowania. Wydawać gorący.

Poncz palony na minie. Proporcja: 2 bu-

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i mrok młodości, usuwa wagi, przysusza i smarszczy oraz odświeża skórę.

telki czerwonego wina, 1 kg. cukru z głowy, pół butelki bardzo mocnego araku, 5 malinowe pomarańcze pokrajane ze skórką w plasterki. Podgrzać wino do zagotowania. Wlać w silnie wygrzaną metalową, ozdobną wazę. Włożyć pomarańcze malinowe pokrajane w plasterki i oczyszczone starannie z pestek. Położyć napoprzek wazy szczypce metalowe, oprzeć na nich cukier w jednym dużym kawale, wylać na niego arak, zapalić. Gdy się cukier całkowicie roztopi i spłynie do wazy, natychmiast podawać, bo poncz musi być bardzo gorący.

Melba.

Jak zapobiec powstawaniu przykręgo posmaku w cieście?

Niech Pani raz upiecze ciasto na „DAWIE” D-ra. Wandera, a nie będzie już nigdy używała żadnego innego proszku do pieczenia. Dawy używają gospodynie na całym świecie, co jest najlepszym dowodem jej doskonałej jakości

Sól stołowa w nowym opakowaniu

Tak się już utarło, że do gatunku i opakowania soli przywiązujemy wagę mniejszą niż należy.

Przeważnie też nie zastanawiamy się nad tem, że istnieją rozmaite gatunki soli i że od użycia właściwego gatunku zależy smak, a czasami nawet wygląd potrawy.

Skutek jest ten, że w solniczce nie raz zjawia się sól, która nie powinna wyjść poza obręb kuchni, to znaczy sól kupowana na wagę w pierwszym lepszym sklepiku i przyniesiona do domu w klejonej ręcznie (dobrze jeszcze jeżeli nie z kawałka gazety!) torebce!

Taka sól jest odpowiednia tylko do solenia produktów, które mają być poddane gotowaniu, smażeniu, pieczeniu i innym temu podobnym czynnościom.

Natomiast do potraw już przyrzą-

dzonych lub do produktów spożywanych na surowo używana być powinna tylko sól tak zwana *stołowa*, paczkowana mechanicznie w kartony półkilogramowe.

Jest to sól najwyższego gatunku, tak zwana warzonka „Vacuum”. Sól ta daje gwarancję zupełnej czystości, nie wilgotnieje, ani się nie zbija i ma wszystkie dane na to, żeby stać się jedyną solą, używaną do dosalania potraw i przyrządzania sałat.

Dodajemy: 1) że nowe opakowanie Polskiego Monopolu Solnego czyni zadość wszelkim wymaganiom estetyki, 2) zgrabne, półkilogramowe pudełko stanowi prawdziwą ozdobę stołów, półek i kredensów, 3) cena półkilogramowego pudełka soli wynosi tylko groszy 25.



Wykwintna — strojna balowa suknia

*Aksamit „infroissable“ w kolorze „prune„
ozdoby z naszytych pereł i aplikacji z lamy.*

„Sortie“ balowe jako
całość do sukni aksamitnej

*Sortie również z tego samego materiału
oszyte srebrnym lisem*



Skromne i strojne

B. 152. Suknia z białego crêpe satin, pelerynka
podbita czarnym velourem, przybrana lisem.

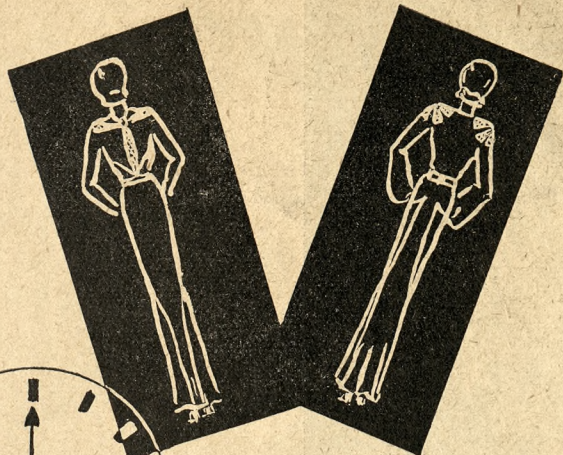
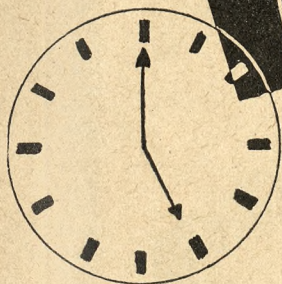
B. 153. Wieczorowa suknia z czarnego crêpe ma-
rocain. Na peleryncy szeroka plisa z cekinów.

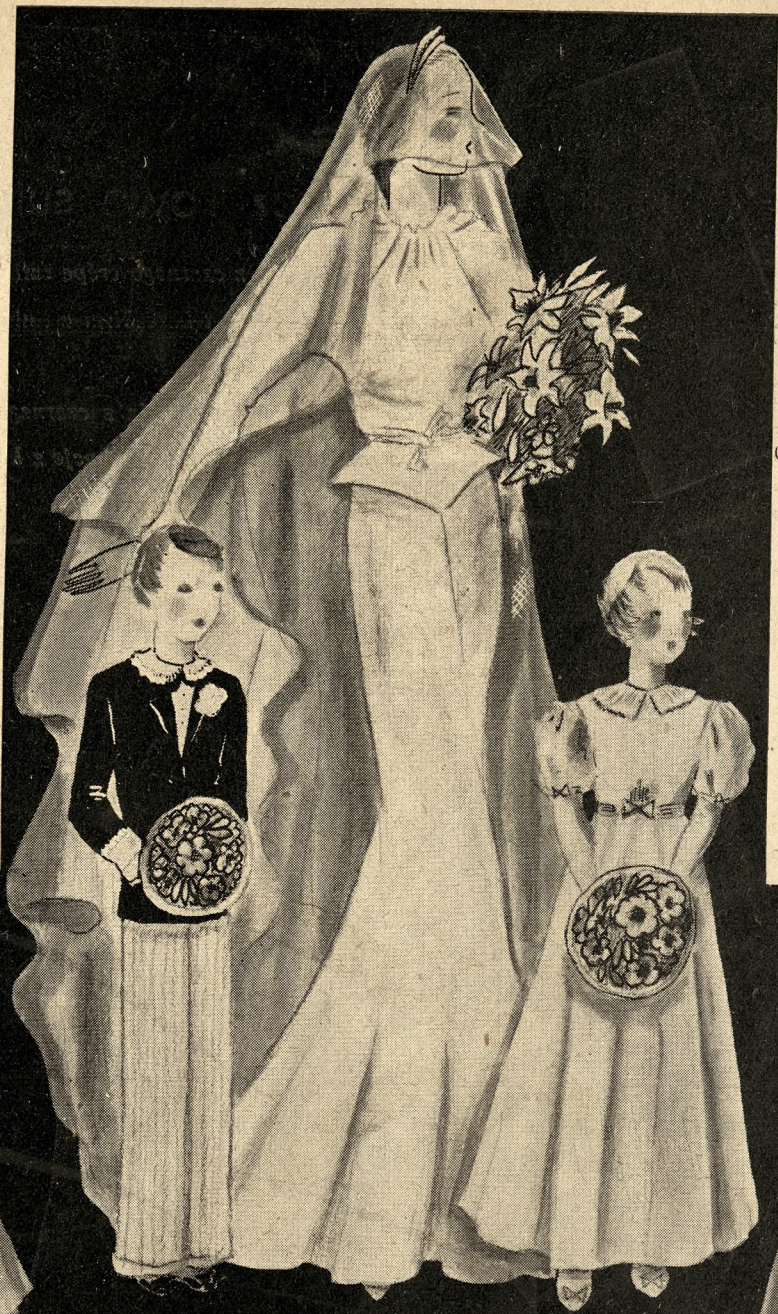


wieczorowe suknie

B. 154. Suknia z czarnego crêpe satin z wielką kokardą i karczkiem z tiulu.

B. 155. Wizytowa suknia z czarnego jedwabiu. Na ramionach i plecach aplikacje z koronki celofanowej.





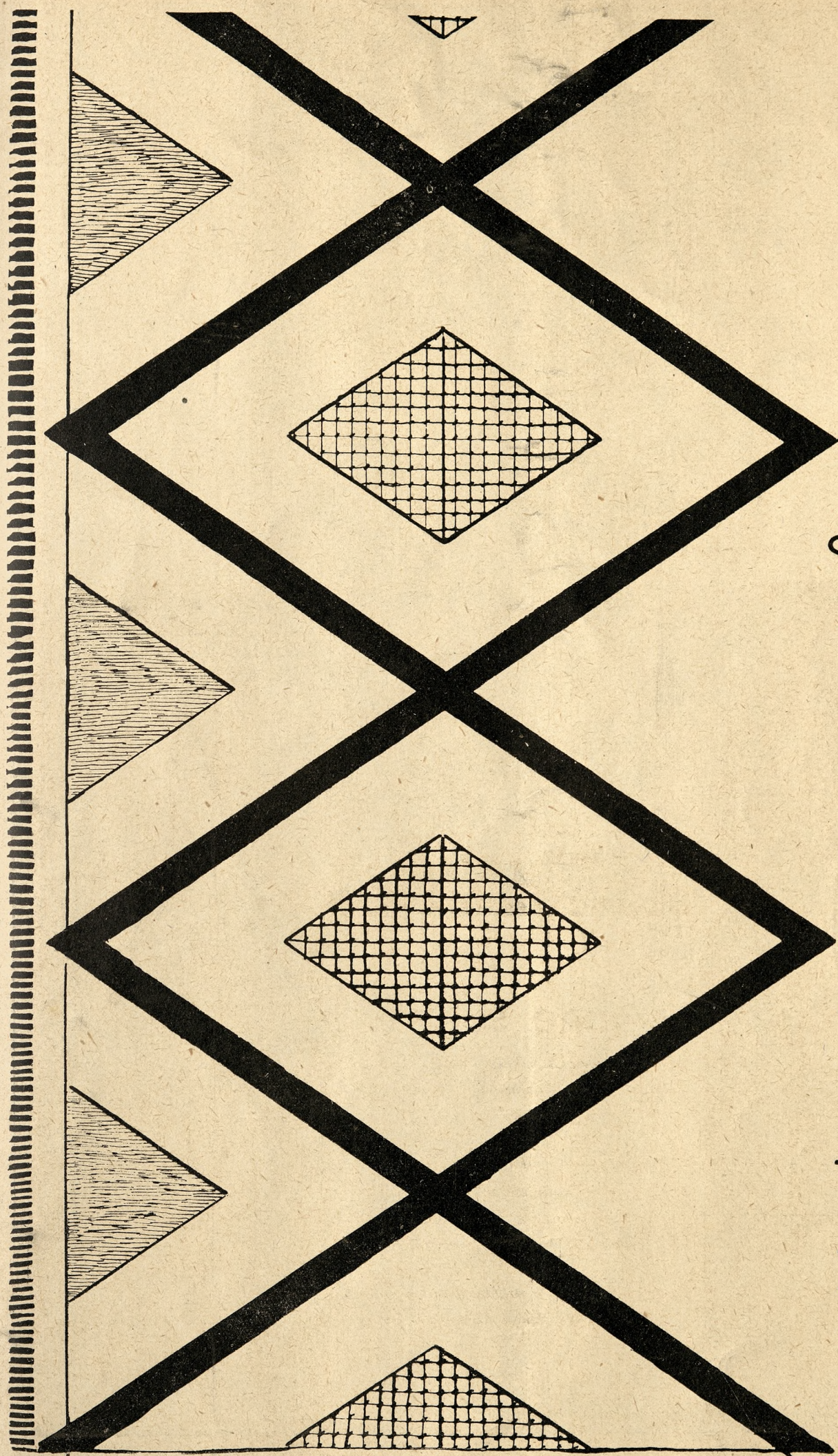
Ślubne suknie

Nr. 1. Elegancka suknia ślubna z crêpe satin — rękaw kimonowy, krótka baszinka.

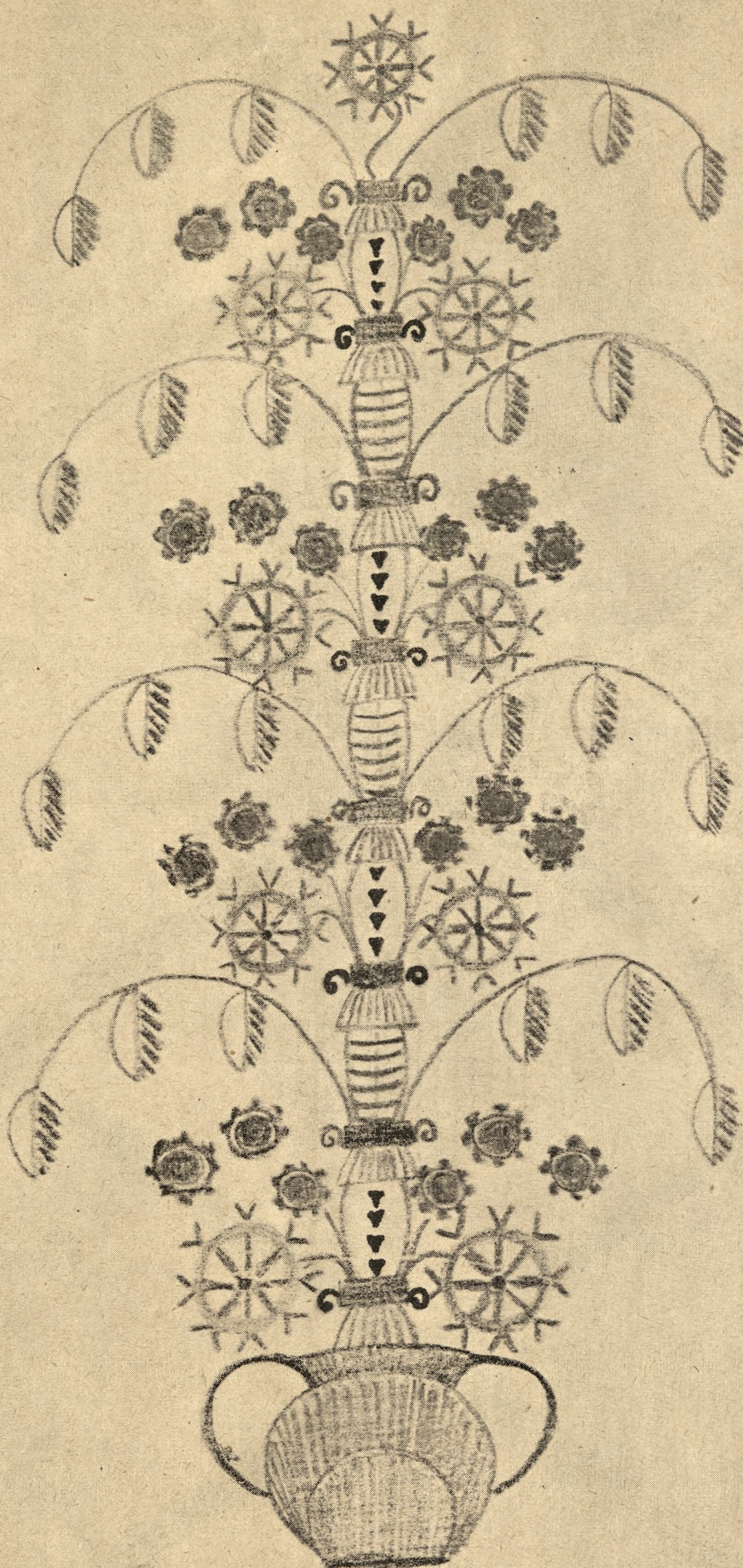
Nr. 2. Skromna suknia ślubna z crêpe mat. Rękaw wszyty szeroką mereżką. Ten sam motyw powtarza się na biodrach i tworzy jakby odcięty stanik.

Nr. 3. Wytworna suknia ślubna z białej koronki. Rękaw kimonowy.



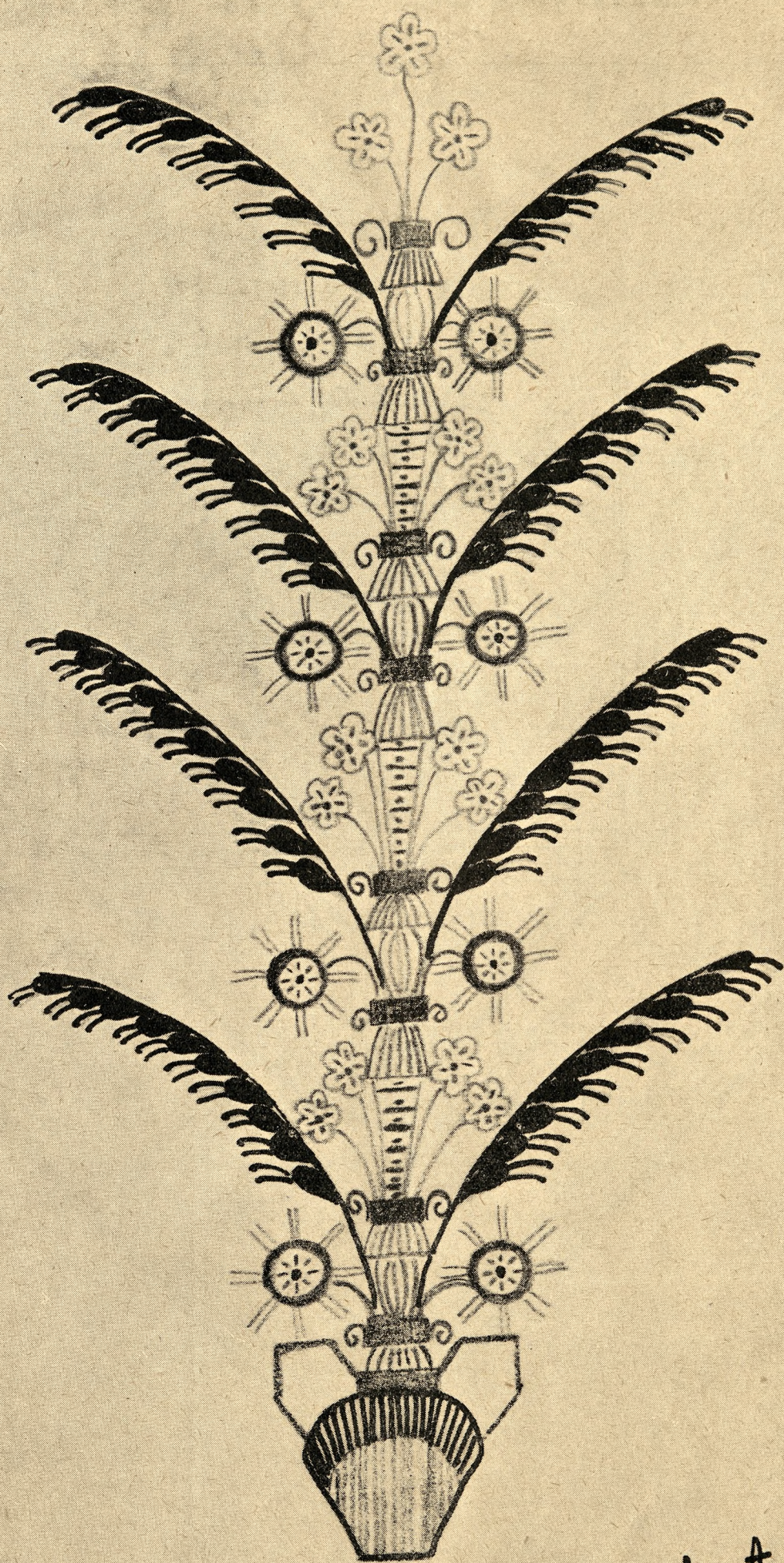


Szlak odpowiedni do płóciennych firanek. kolory- niebieski
żółty i czarny. Ściegi: „Janina” - kratka i ścieg japoński. M.W.



wzór na makotę

ICH.



wzór

na

makotę

Haftowane tiule



Haftowna do cęrowania i nici **TRZYLILJE**



Gwiazdka

Podarki gwiazdkowe, przez najbliższe osoby własnoręcznie przygotowane, posiadają specjalny urok. Zaliczamy do nich zwłaszcza własnego wyrobu pieczywo, które wśród darów świątecznych szczytne zająć może miejsce o ile się uda, znakomicie smakuje i dobrze każdemu służy. Doświadczone gospodynie używają stale w tym celu Dra Oetkera proszku do pieczenia „Backin“, który gwarantuje nie tylko udanie się każdego pieczywa, lecz przygotowane według przepisów Dra Oetkera placzki i ciastka smakują przepysznie i służą każdemu, a są przytem bardzo tanie.

MEBLE

gwarantować może tylko
własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoń 10 sztuk 220. Złoczone orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyścielane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI

Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

OGŁOSZENIA DROBNE



Wzorowe Kursy Kosmetyczne

Dr. Biernackiej i Dyr. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Izie: Aby wybielić ręce i utrzymać je gładkie i ładne, pomimo gospodarskich i kuchennych zajęć, polecam pani *Krem Pralatorów*, który nawet bardzo zniszczone ręce szybko doprowadzi do należytego stanu, nadając im aksamitną gładkość i delikatność. Jeżeli idzie specjalnie o wybielenie, to na noc, po natarciu *Kremem Pralatorów*, proszę grubo przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida* i włożyć obszerne rękawiczki, aby puder utrzymał się przez noc. Jeżeli ręce są bardzo zniszczone, to i wśród dnia raz lub 2 razy po umyciu wetrzeć troszkę *Kremu Pralatorów*, który wciera się zupełnie do sucha.

P. Zosi w Mińsku: Aby utrzymać białą, czystą cerę, radzę pani 2 — 3 razy dziennie nacierać twarz *wschodnim płynem Mimosa*. Przy używaniu tego płynu pozbedzie się pani błyszczącej, tłustej cery kolenosa i na brodzie. Przytem, aby dobrze oczyścić pory skóry, radziłbym pani zarzucić mycie twarzy mydłem, używać natomiast do mycia *otrąbek abaridowych*. Przy tłustej cerze nie wolno używać tłustych kremów i pudrów i dlatego radzę pani stosować *krem Abarid* i nietłusty *puder Abarid*. Wgółle lepszego pudru nad abaridowy nie znam, a *krem Abarid*, stosowany przez czas dłuższy, zapobiega tworzeniu się zmarszczek i wygładza już istniejące.

Ciemniejącej: Utrzymaj pani jasny kolor włosów i rozjaśnij je na kolor złoto-blond, stosując *płyn Hella*, który jest przygotowany na wyciągu z rumianku. Wody utlenionej używać do rozjaśnienia włosów nie wolno, gdyż niszczy i kruszy włosy.
M-me Ercèdes.

Od 1.XII.34 = 1.I.35 r.

Dwutygodnik „JA TO ZROBIĘ“

urządza w lokalu własnym ul. Świętokrzyska 17 m. 3

„WYSTAWĘ = KIERMASZ“

p. t.

JAK I Z CZEGO JA TO ZROBIĘ“

Celem wystawy będzie w jej części pierwszej pokazanie najnowszych, polskich surowców — materiałów w dziedzinie tkanin, nici, włóczek, metali, skóry, pergaminów na abażury, rafji, drzewa, paciorków i wszelkich pomocy technicznych, oraz szeregu artystycznych przedmiotów wykonanych z wyżej wymienionych surowców. ∴ ∴ ∴ ∴

Część druga wystawy obejmie bogaty dział wszelkich najmodniejszych robót ręcznych, przeznaczonych do sprzedaży gwiazdkowej. ∴ ∴ ∴

Wszystkie Panie, interesujące się rękodzielnictwem, prosimy o zapamiętanie daty trwania naszej

„WYSTAWY = KIERMASZU“

od 1 grudnia 1934 r. do 1 stycznia 1935 r.

dla prenumeratorek pisma „Ja to zrobię“ wejście bezpłatne.

FUNDUSZ SZKOLNICTWA POLSKIEGO ZAGRANICĄ.

W dniu 4 grudnia r. b. w lokalu Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą odbyło się posiedzenie Komitetu Wykonawczego Zbiórki na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą na rok 1935.

Po zagajeniu zebrania przez Prezesa Komitetu Wykonawczego, p. dr. Bronisława Hełczyńskiego, wygłosił krótki referat o szkolnictwie polskim zagranicą p. wizytator Seweryn Maciszewski, omawiając sposoby zorganizowania zbiórki wśród młodzieży szkolnej.

Wzorem lat ubiegłych, akcja tegoroczna nie będzie ograniczała się jedynie do samej zbiórki, lecz stanowić będzie również propagandę szkolnictwa polskiego zagranicą,

połączając ją z uświadamianiem młodzieży szkolnej o problemach, potrzebach i trudnościach Szkoły Polskiej Zagranicą oraz o palącej konieczności utrzymania wśród 1.200.000 młodzieży polskiej zagranicą poczucia narodowego.

Akcja ta ma być prowadzona przez całe nauczycielstwo przy pomocy odczytów w szkołach i pogadanek z dziećmi, wyjaśniających trudne położenie Szkoły Polskiej na obczyźnie.

Obecni na zebraniu przedstawiciele organizacji nauczycielskich, przedstawiony przez p. wizytatora Maciszewskiego plan przeprowadzenia zbiórki oraz akcji uświadamiającej przyjęli, zgłaszając jednocześnie swoją współpracę w akcji zbiórkowej.

WARSZAWIANKI

to książka pogodna tak wewnętrzną treścią, jak i zewnętrzną szatą ilustracyjną

WARSZAWIANKI

to analiza duszy 33 kobiet

WARSZAWIANKI

to książka prosta i serdeczna

WARSZAWIANKI

to książka..., tania nadająca się na miły prezent gwiazdkowy

WARSZAWIANKI

J. WYCZÓLKOWSKIEJ-SURYNOWEJ

200 stron druku

kilkadziesiąt ilustracji i wnień

DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU”
za okazaniem wycinka niniejszego ogłoszenia

cena rewelacyjna 3 złote

Do nabycia; w Tow. Wyd. „Bluszczy”, Świętokrzyska 17 m. 3 i Solec 87.

Na prowincję wysyła się za zaliczką pocztową z doliczeniem kosztów przesyłki
Konto P. K. O. 12.200

Najlepszym Podarkiem

Gwiazdkowym jest dobra książka

Taką książką są:

„MILKNĄCE

ECHA”

STANISŁAWA KAWCZAKA

Wydane nakładem Tow. Wydawniczego „BLUSZCZ”

Cena 8 zł. z przesyłką pocztową 8.40

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych księgarniach. Konto PK.O. 12.200

Każdej

Pani

domu

w

okresie

Ś w i ą t

Bożego

Narodzenia

Wydawnictwo „Życie Praktyczne”

poleca książki poświęcone sprawom gospodarstwa domowego p. t.

Potrawy wigilijne

Potrawy z ryb

Potrawy z cielęciny

Potrawy z wołowiny

Drób i sposoby przyrządzania

Przystawki gorące

Zimne przekąski

Torty domowe

Nalewki i likiery

Zimne napoje

**Jak odróżnić towar dobry od złego
(owoce i jarzyny)**

**Jak odróżnić towar dobry od złego
(mięso i ryby)**

Cena każdej książeczki 1 zł. z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Warszawa, Solec 87, i Świętokrzyska 17. m. 3.

Konto . K. O. 12.200.